Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 7,90 zł w tym 8% VAT • NR 19 (1807) • 9–15 maja 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

A trupy płyną...

str. 8

DOBRY SAMARYTANIN

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl 37a1455d59

WOJNA DOMOWA

Wybuchła i w najlepsze trwa nawrocka afera mieszkaniowa. Pisowski kandydat chciał być tak bardzo obywatelski, iż podczas debaty urządzonej przez „Super Express" powiedział, że tak jak każdy zwykły Polak ma jedno mieszkanie. Okazało się, że ma dwa, a drugie przejął w niejasnych okolicznościach, najprawdopodobniej wykorzystawszy naiwność oraz skłonność do nałogu starszego mężczyzny z Gdańska. W ślad za kłamstwem Nawrockiego poszły dalsze łgarstwa – zarówno kandydata, jak i przedstawicieli jego sztabu.

W pierwszym szeregu dwulicowych pisowskich krętaczy wystąpili: Wierzbicki, magister dziennikarstwa i rzeczniczka Nawrota; Szefernaker, szef sztabu wyborczego Nawrota, Czarnek, zwany Czerniakiem, były minister edukacji i poważny kandydat na następcę Kaczyńskiego, Śliwka, który wiadomo gdzie wpadł, oraz Kuźmiuk, którego ułożone w ciup fałszywe usta są nieustanną gratką dla memiarzy.

Za radą Bielana lub innego spin doktora winą za ujawnienie mieszkaniowego oszustwa Nawrota pisowcy obarczyli służby specjalne. Śliwka tak się tym wątkiem masturbował, że aż dostał zeza, gdy razem z Gembicką (która po wprowadzeniu aparatu na zęby wzbogaciła look o kasztanowe loki) ogłaszał o kontroli poselskiej w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Pisowska telewizja, której nazwę publicznie wymieniają tylko kanalie, poinformowała, że w Warszawie przy Kieleckiej 32 ma siedzibę antynawrocki sztab złożony z łapsów – i przez pół dnia pokazywała drzwi wejściowe budynku stojącego pod tym adresem. Telewidzowie tracili dech w nadziei, że sobaczą Siemoniaka w czarnej pelerynie, z czerwonymi oczami i spiczastymi uszami, ale nie zobaczyli. Bezrozumnym fanatykom podpowiadamy: Siemoniak dostał się na Kielecką tajnym tunelem.

Na nawrockie matactwa mieszkaniowe jak łysy na zgrzebło rzucił się kandydat Mentzen. Nazwał Nawrota gościem, który „zrobił rzecz całkowicie obrzydliwą". I tu, Mister Scooter, musimy się z Panem zgodzić.

Jeśli już mówimy o Metzenie, to nie sposób nie wspomnieć, że do jego sztabu wyborczego doszedł Rzepecki, kiedyś pisowiec, ostatnio doradca Dudy. Szczur z okrętu, którego data zatonięcia jest od dawna znana, przesiadł się na szalupę rzuconą mu przez Konfederację, co pozwoli mu jeszcze trochę politycznie pooddychać.

A gdzie po wyborach wyląduje Duda? Jego Mastalerek liczył na to, że do końca będzie zachowywał taktyczny balans w popieraniu PiS-u i Konfy, ale po tym, jak podczas konwencji Nawrota Duda ogłosił, że zagłosuje na niego, margines możliwości trochę się zwęził. Mastalerkowi teraz nie pozostaje nic jak tylko założyć zgrzebny worek i pokłonić się Bosakowi nisko, po samo piździsko.

Duda przemówił z okazji 3 Maja – o tym, że następny prezydent nie powinien łamać przepisów konstytucji. Przelatujące wtedy nad Placem Piłsudskiego sójki o mało nie pospadały ze śmiechu, a Tusk napisał na X: „Obchodzić Święta Konstytucji to Pan Prezydent potrafił jak nikt. A jeszcze lepiej samą konstytucję".

Braunowi, byłemu koledze Bosaka i Mentzena, Parlament Europejski odebrał immunitet – i teraz bodnarowcy będą mogli zatrzymać faszystę i piec go na wolnym ogniu. A my sądzimy, że takich performerów jak Braun należy chronić, dokarmiając ich w puszczy – jak orangutany sumatrzańskie lub inne zagrożone gatunki.

Ludzie ze sztabu wyborczego Trzaska prywatnie tak intensywnie zacierają łapki z radości, że aż im się skóra pali, lecz swojemu kandydatowi radzą, żeby trzymał ostrożny dystans. Rzucenie się Nawrockiemu do gardła i przegryzienie mu tętnicy pozostawiają Trzaskowskiemu na czas przed drugą turą. No, chyba że trzeba będzie zagryźć Mentzena…

W serii debat przedwyborczych odbyło się zorganizowane przez Polsat News starcie przedstawicieli sztabów wyborczych kandydatów na prezydenta. Do dyskusji stacja telewizyjna nie zaprosiła reprezentanta sztabu Maciaka, a prowadzący debatę red. Witwicki uzasadnił to tak: „Jeżeli ktoś chce [przedstawiciela Maciaka] posłuchać, to niech sobie włączy Russia Today". Słabe…

Nie wiemy, czy to jest ważne i jak bardzo, ale musimy zauważyć, że Nawrocki przez internautów z poczuciem humoru coraz częściej bywa nazywany Nawraciakiem.

Nie tylko mieszkaniami Nawrocki żył… Radio Zet ujawniło, że gdy pisowski kandydat na prezydenta był dyrektorem Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, edukował się za muzealne publiczne pieniądze: 37 tys. zł kosztowała nauka angielskiego, a 23 tys. zł studia MBA na Politechnice Gdańskiej. Jeśli ktoś posłucha, jak Nawrot mówi po angielsku, to pojmie sens powiedzenia o nauce, która poszła w las.

Jakoś krótko po wizycie Nawrockiego w Ameryce (efekt: zdjęcia z prezydentem Trumpem, sfilmowane smol toki z sekretarzem Rubio i spikerem Johnsonem) Ambasada USA w Warszawie wydała komunikat, najpierw przypominając obywatelom Polski, że „wiza i zielona karta nie są prawem przysługującym z urodzenia; to przywileje", a potem napominając: „Nie wjeżdżaj nielegalnie do USA". Chyba nie tylko nam się wydaje, że w tej ambasadzie muszą pracować urzędnicy równie inteligentni jak Amerykanin wszystkich Amerykanów Donald Trump.

Szefernaker, Bielan czy Śliwka (ale raczej nie on) wymyślili, żeby zatrzeć złe wrażenie afery mieszkaniowej i przed drugą turą urządzić w Rzeszowie kongres ukochanego przez Trumpa CPAC (Conservative Political Action Conference). Mógłby przylecieć wiceprezydent Vance, wyściskać Nawrota i zawołać: *You will win!* Nasz komentarz w obcym języku: *A dick like an elephant's trunk*. Co po polsku znaczy mniej więcej: Taki chuj jak słonia nos.

Dosyć ważna sprawa – pierwszy raz od półtora roku Rada Polityki Pieniężnej obniżyła referencyjną stopę procentową o pół procent.

Dosyć śmieszna sprawa – arcybiskup katolicki Jędraszewski powiedział publicznie: „To, od czego dzisiaj Polska zawisła, to ofiarna miłość Polski. Miłość nasza do Polski, naszej ojczyzny, polega na pragnieniu posiadania dzieci, na szczyceniu się, że jest ich dużo i że są prawdziwą nadzieją naszego narodu".

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Kwiecień–maj 2013 r.

Świętego Anzelma

„Teatr potrzebuje Smoleńska!" – tytułuje swój szkic w „Gazecie Polskiej" Redbad Klijnstra, chyba artysta. Nie znaczy to, że teatr potrzebuje katastrofy, tylko że musi ją wystawić. „Bez niej, bez jej przetrawienia teatr ten staje się niepotrzebny, wręcz karykaturalny".

Świętego Aleksandra

Janusz Palikot poszedł przemawiać do wyborców na bazar w Nowym Sączu. Wybraniec narodu ust jednak nie mógł otworzyć, bo tłum faszystów zagłuszał go przez godzinę, śpiewając pieśni i wrzeszcząc. Zgromadzona policja nie reagowała. Wkroczyła dopiero wtedy, gdy bojówkarz wystrzelił z atrapy pistoletu jakąś mazią i zniszczył posłowi garnitur.

Czyż policja uważa, że ubranie Janusza Palikota jest wartością godną obrony, a umożliwienie głoszenia swych poglądów przez prominentnego parlamentarzystę nie jest warte ruszenia pałą?

Słowa te nie oznaczają, że lekceważę elegancję przewodniczącego Ruchu Palikota.

Świętego Żorża

Z rozmowy z nauczycielką gimnazjalną: Można zrobić wielkie oszczędności w szkolnictwie, likwidując etaty bibliotekarek, świetliczanek i higienistek. Higienistki są pamiątką z czasów, gdy w głowach uczniów trzeba było szukać wszy. Biblioteki szkolne są miazmatem z czasów, gdy młodzież czytała książki. Współczesną świetlicą są Pudelki, Facebooki itp. I w ogóle pewne czynności przemijają, a etaty pozostają.

Świętego Fidela

Napiwszy się, stłukłem specjalną kolorową szklankę, z której od wielu lat piłem wódkę. Byłem do niej przywiązany bardziej niż do ojczyzny, rodziny i niewiary. Urządziłem więc stypę po szklance i uchlałem się w trupa.

Świętej Zyty

Chciałoby się, żeby w Polsce było aż tylu Żydów, ilu jest piszących o nich publicystów.

Świętej Katarzyny

Przeczytałem bardzo ciekawą książkę Sławomira Kopera „Kobiety władzy PRL". Łyknąłem ją od deski do deski, to znaczy od Wandy Wasilewskiej do Elżbiety Kępińskiej – żony ostatniego I sekretarza KC PZPR.

Zastanawiam się, czy autor mógłby napisać taką książkę o kobietach władzy III RP. Premier Suchocka nie rozpala ciekawości. Wałęsowa sama skonsumowała siebie jako temat. Jolanta Kwaśniewska eksponowała się już dostatecznie długo, żeby się opatrzyć. Sensacyjne przygody Lechowej Kaczyńskiej czy Bronisławowej Komorowskiej trudno byłoby wydusić z ich poczciwych żywotów. Które więc? Dzieje Muchy? Burzliwa historia Nowickiej? Tajemnice Pitery? Uroki Tuskowej? Niespodziewane zniknięcie rozśmieszającej Nelly Rokity (czy żyje?).

Na tym tle widać, że przeobrażenie się Anny Grodzkiej z mężczyzny w kobietę było historyczną i polityczną koniecznością. Moja opinia: po pierwsze połowę stanowisk władczych w gospodarce i polityce należy oddać kobietom. Po drugie kandydatki należy importować z Indii, Niemiec, Afryki i Rosji.

Świętego Roberta

Tytułem zwrócił moją uwagę artykuł Filipa Memchesa w „Rzeczpospolitej" „Kościół między Urbanem a Palikotem". Gdyby rzeczywiście tam się mieścił, mało by z niego zostało. Równie kłamliwe i idiotyczne jest zakończenie artykułu. Memches pisze, że współczesna kultura „wychodzi z założenia, że każda jednostka sama decyduje o tym, co jest dla niej szczęściem, i żadne wskazania religijne czy moralne nie mogą jej w tym zakresie ograniczać". Z tego braku innych niż religijne ograniczeń wynikałoby, że można zabić żonę zamiast się rozwodzić, ukraść samochód czy zegarek lub pobić księdza, który drażni, szwendając się po ulicy.

Świętego Borysa

Dostałem wraz z kolegami pozew sądowy od europosła Jacka Kurskiego. Zabiega w sądzie głównie o to, żeby zakaz publikacji w „NIE" o jego życiu prywatnym przedłużyć z pół roku do roku. Wzmaga to ciekawość, co też takiego działo się lub dzieje, ewentualnie ma dziać w życiu Kurskiego? Jedni przypuszczają, że planuje pedofilię. Drudzy mniemają, że ogłosi się gejem albo oficjalnie założy harem. Ja sądzę, że zidiociał, bo nawet jeśli „NIE" nie napisze, że zrobił to, co zrobi, w Polsce są jeszcze Pudelek, gazety „Fakt" i „Super Express", a także wygłodzone sensacji z wyższych sfer magazyny dla pan i panów.

W maju mam proces wytoczony przez Tuska, w czerwcu przez Kurskiego. Wolny mam jeszcze lipiec i uprzedzam wszystkie sądy, że w sierpniu wyjeżdżam na urlop, a w razie potrzeby umiem nielegalnie przekraczać granice. Trzy razy już to robiłem.

Świętego Sylwiusza

Występując w „Kropce nad i" (TVN 24), Monika Jaruzelska, córka Generała, powiedziała, że rozważa karierę polityczną. I w rozmowie z Moniką Olejnik ukazała stosowne umiejętności. W wielu krajach rządzenie bywa dziedziczne, a córka gen. Jaruzelskiego ma geny władzy. Kiedy, rządząc Polską, ogłosi stan wojenny, nie uczyni tego z marsową miną ojca, lecz z tak czarującym uśmiechem, że naród zawoła: jeszcze, jeszcze, jeszcze... ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- 16 maja odbędzie się msza o pomyślny wybór **Karola Nawrockiego** na prezydenta Polski. Modlitwy należy kierować do Matki Boskiej DPS-owskiej.
- **Donald Trump** polecił odbudowanie i ponowne otwarcie więzienia Alcatraz. Jeśli będzie ono przypominało Trump Tower, to będzie tam bardzo brzydko.
- Jak informują media, krawiec **Raniero Mancinelli** szyje sutanny dla papieża w trzech rozmiarach. Najważniejsze w tej sytuacji, żeby karła nie wybrali.
- **Andrzej Duda** zapewnił, że wie, ile pracy włożyli maturzyści w przygotowania do matury. Andrzej, a odmień *I do*.
- **USA** wycofały się z roli mediatora pomiędzy Rosją a Ukrainą. Najwyraźniej z kart to mieli jokera.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Kto chce państwa wyznaniowego

W związku z trwającą kampanią wyborczą i udziałem w niej Sławomira Mentzena może warto byłoby, aby Redakcja poruszyła (…) temat tzw. Konfederacji Gietrzwałdzkiej, czyli aktu, deklaracji, zakładającej utworzenie „Wielkiej Polski Katolickiej", czyli państwa wyznaniowego.

Dokument ten podpisał właśnie S. Mentzen, ale również G. Braun, K. Bosak, K. Godek.

Pewnie we wcześniejszych artykułach, tekstach „NIE" pojawiały się wzmianki o tej deklaracji, ale warto byłoby, jak sądzę, przyjrzeć się szerzej i dokładniej treści dokumentu, który mimo że napisany archaicznym i quasi-religijnym językiem, brzmiącym nieco groteskowo i niepoważnie jak na standardy demokratycznego państwa w XXI wieku, to wydaje się traktowany przez sygnatariuszy jak najbardziej poważnie, choć w obecnej kampanii S. Mentzena jest to kwestia przez niego i Konfederację pomijana.

Pozdrawiam
PS

Odebrać certyfikat

(…) Organy państwowe powinny odebrać prezesowi IPN Karolowi Nawrockiemu certyfikat dostępu do informacji niejawnych, gdyż ostatnio w mediach ukazało się bardzo dużo niepokojących informacji o jego dawnych i obecnych powiązaniach z osobami i grupami przestępczymi często mającymi powiązania z rosyjskimi i białoruskimi służbami specjalnymi i przez te służby inspirowanymi np. do podpaleń, napadów, zachowań rasistowskich, zachowań antyunijnych i antynatowskich.

Zastanawiam się, jak człowiek o takiej kryminalnej przeszłości i o takich prorosyjskich i probiałoruskich kontaktach mógł dostać od służb specjalnych certyfikat dostępu do informacji niejawnych. Składam to na karb dawnych czasów, kiedy rządził prorosyjski PiS i na czele służb stali ludzie o właśnie takich prorosyjskich poglądach. (…)

Niepokojące jest również to, że żona takiej osoby pracuje w KAS (Krajowej Administracji Skarbowej – red.) i ma dostęp do bardzo wrażliwych i tajnych informacji skarbowych dotyczących obywateli.

CZYTELNIK

Gadzinowski ma rację

Uczestniczyłem w kilku chińskich bankietach i w stu procentach potwierdzam ustalenia redaktora P. Gadzinowskiego prezentowane w artykule „Jak przeżyć chiński bankiet" („NIE", nr 17–18/2025). Smak ślimaków i prosiaka z jabłuszkiem w pyszczku, pomimo upływu wielu, wielu lat, pamiętam do dziś. Uzupełniłbym tylko ten tekst o informacje o skali takich eventów. Zdarzyło mi się uczestniczyć w bankiecie na ok. tysiąc osób, kilkadziesiąt okrągłych stołów z obracanym dużym talerzem na środku, kilkunastoma potrawami na każdym i organizacyjnie wszystko działało perfekcyjnie. Innego razu jako Europejczycy uzupełniliśmy, po wypiciu gorącej wódeczki, wyśmienitą atmosferę, o taniec towarzyski, tj. walczyki, poleczki itp. Jeśli ktoś chwali polską gościnność, to zapewne nigdy nie był w Chinach.

Z uszanowaniem dla Redakcji
i redaktora P. Gadzinowskiego

eprasa.pl 37a1455d59

Palący kryzys w Służbie Więziennej

Przychodzi klawisz do lekarza

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kiedy lekarz bada pacjentkę, nie spodziewa się, że zaraz do jego gabinetu wtargnie były pacjent, który go zaszlachtuje nożem jak rzeźnik świnię. To, co spotkało 29 kwietnia dr. Tomasza Soleckiego, lekarza ortopedę z krakowskiego Szpitala Uniwersyteckiego, wstrząsnęło całym krajem. Nie bez racji, bo zabijanie lekarzy – w odróżnieniu od picia małpek i grillowania – nie jest polskim sportem narodowym.

Nie zdziwiło mnie, że 35-letni nożownik Jarosław W. to funkcjonariusz Służby Więziennej (SW). Jeszcze mniej zdziwiło mnie, że stanowiskiem za kolejnego funkcjonariusza killera w krótkim czasie zapłacił szef SW płk dr Andrzej Pecka. Głowa oficjela spadła, politycy, jak to politycy, wykazali się świętym oburzeniem i mówili, jak współczują medykom i rodzinie dr. Soleckiego.

O tym, jaką fikcją są badania lekarskie w tej wymagającej służbie mundurowej, jest fakt, że sprawca niecałe trzy tygodnie przed zbrodnią Jarosław W. pozytywnie przeszedł badanie okresowe w zakresie medycyny pracy przy Okręgowym Inspektoracie SW w Katowicach. Facet dostał ważne dwa lata zaświadczenie o zdolności do służby. Od 22 kwietnia przebywał jednak na urlopie wypoczynkowym, dzień później dyrektor Aresztu Śledczego w Katowicach ponownie skierował go na badanie medycyny pracy.

Dr Pecka podkreślał, że podległa mu SW nie ma sobie nic do zarzucenia: „Chcę zaznaczyć, że w związku z otrzymywanymi informacjami o niepokojącym zachowaniu funkcjonariusza Aresztu Śledczego w Katowicach kierownictwo jednostki penitencjarnej podejmowało adekwatne i zgodne z obowiązującymi przepisami prawa działania".

Okazało się, iż sprawca był pacjentem dr. Soleckiego niezadowolonym z efektów leczenia. Mówiąc wprost: odkleił się od rzeczywistości, twierdząc, że w trakcie operacji ręki lekarz miał wszczepić mu białaczkę czy jakiegoś wirusa. Mówił, że to ortopeda jest winien temu, że podupadł na zdrowiu. Rodzice prosili go, by poszedł do psychiatry, lecz odmówił.

Najgorsze, co może się stać, to przejście nad tą zbrodnią do porządku dziennego: ot, chłop zwariował, chwycił za nóż i kogoś zabił. Rodzi ona pytania o stan SW, zwłaszcza zdrowia psychicznego jej funkcjonariuszy, o które – we własnym najlepiej pojętym interesie – powinno zatroszczyć się społeczeństwo. Sięgnęłam do literatury naukowej, aby przekonać się, czy naprawdę jest tak fatalnie, jak się wydaje, gdy w ciągu paru miesięcy drugi funkcjonariusz okazuje się zbrodniarzem: pierwszy był mordercą swoich dzieci i teściowej z podwrocławskich Prusic.

Nie uprzedzę faktów, mówiąc, że jest jeszcze gorzej. I niebezpieczniej.

Uwięzieni

Odpowiedź na pytanie, kto siedzi w więzieniu, jest na pozór prosta. Siedzą w nim więźniowie, kryminaliści, bandyci (zostawmy na boku alimenciarzy). To jednak tylko część prawdy, bo w zakładach karnych przebywa również personel penitencjarny, owi niesławni klawisze czy też – jak mawiają osadzeni – gady. Wielu z nich – przynajmniej na początku – bierze owe więzienne sprawy z sobą, dźwigając je jak niechciany garb. Rodzime badania jednoznacznie dowodzą, że

warunki pracy funkcjonariuszy powodują, że zarówno oni, jak i ich bliscy kojarzą zatrudnienie ze świadomym odbywaniem przez nich ze skazanymi kar pozbawienia wolności. Innymi słowy, pojawia się u nich często syndrom uwięzienia.

Jak ujmuje to Rafał Podruczny w tekście naukowym sprzed trzech lat „Proces prizonizacji funkcjonariuszy Służby Więziennej – adaptacyjne aspekty funkcjonowania personelu penitencjarnego w środowisku zawodowym": „Personel penitencjarny stanowi grupę zawodową wyjątkowo narażoną na doświadczanie silnego stresu w miejscu pełnienia służby oraz odczuwanie wypalenia zawodowego. Ponadto odczuwa liczne przeciążenia wynikające zwłaszcza z profilu służby – hierarchizacja, dyspozycyjność i decyzyjność. Ustawiczny stres, a także występująca presja w środowisku zawodowym funkcjonariuszy Służby Więziennej generować może liczne schorzenia somatyczne, psychiczne, a także zaburzenia w zachowaniu".

Żyjemy w społeczeństwie komunikującym się bez ustanku, personel często z trudem czasem znosi, że przychodząc do pracy i zdając telefony komórkowe, człowiek staje się odcięty od świata. Jak ujął to pewien funkcjonariusz wrocławski w badaniu Podrucznego: „Pozbawienie mnie możliwości skontaktowania się z bliskimi w ciągu dnia powoduje u mnie ogromny dyskomfort. Pomimo znajomości przepisów i racjonalnego tłumaczenia sobie tego obowiązku cały czas mam poczucie, że nawet skazani mają większe swobody niż my, funkcjonariusze. Oni mają dostęp codziennie do telefonu, my nie możemy nawet w pilnych sprawach skontaktować się z rodzinami".

Psycholog dr hab. Mieczysław Ciosek, kierownik Zakładu Psychologii Penitencjarnej i Resocjalizacji Instytutu Psychologii Uniwersytetu Gdańskiego, zwraca uwagę na fakt, że sami funkcjonariusze SW nie mają o sobie najlepszego zdania. A raczej mają jak najgorsze. Opisują siebie w sposób krytyczny, wskazując na takie cechy jak agresywność, wrogi stosunek do otoczenia, niekontrolowanie własnych emocji, rywalizacja z innymi przedstawicielami ich profesji.

W żelaznym uścisku

Wczytując się w wyniki badań empirycznych personelu penitencjarnego, z niekłamanym zdziwieniem odkryłam pewne pokrewieństwo z własnym doświadczeniem akademickim. Tak jak ja znajduję się w kleszczach oczekiwań z jednej strony studentów, z drugiej zaś – szefów, tak sytuacja więzienników jest po stokroć gorsza, frustrująca i pełna realnych zagrożeń dla zdrowia i życia.

Okazuje się, że zwłaszcza personel niższego szczebla, jak oddziałowi czy wychowawcy, wystawiony jest na ciężką próbę. Na ręce patrzą im nieustannie nie tylko skazani, ale także – jeśli nie przede wszystkim – przełożeni.

Osadzeni często przeraźliwie się nudzą i szukają okazji, aby nękać funkcjonariuszy. Są egoistyczni i roszczeniowi. I z powodu byle głupot można narazić się na kłopoty, bo instytucja skargi kryminalistom jest znana doskonale i bywa zmorą dla pracowników więzienia.

Jeżeli jednak z kryminogenami można sobie jakoś zwykle poradzić, to prawdziwym skaraniem boskim są przełożeni praktycznie permanentnie kontrolujący i inwigilujący podległych sobie ludzi, wytykając im nieregulaminowe, nieprawidłowe wykonywanie obowiązków. Rzadko można liczyć na pochwałę, zwykle zbiera się opierdol. A to rodzi niezdrową rywalizację, chwilami przeradzając się – jak informują sami zatrudnieni w więzieniach – w atmosferę zawiści. Bo jest tajemnicą poliszynela, że jeśli ma się chody na górze, to robota będzie lżejsza, obowiązków mniej, a człowiek jest zarazem bardziej doceniany.

Jak podsumował to pewien funkcjonariusz: „Niekiedy mam wrażenie, że jestem tutaj sam przeciwko wszystkim".

Według jednego z badań głównym źródłem stresu u funkcjonariuszy penitencjarnych nie są konflikty z osadzonymi (63 proc.), lecz konflikty z przełożonymi (ponad 70 proc.), że o autorytarnej osobowości przełożonych (ponad 62 proc.) i niskim prestiżu służby (59 proc.) nie wspomnę.

Rządzący mają podane na tacy, jak poprawić sytuację w SW. Oto (uprzedzamy: długa niczym mur chiński) lista najbardziej powszechnych źródeł stresu według danych uzyskanych przez Zespół Służby Medycyny Pracy i Bezpieczeństwa i Higieny Pracy SW: autokratyczny styl zarządzania, brak poczucia bezpieczeństwa, brak satysfakcji z pracy, brak szacunku ze strony osadzonych i przełożonych, brak wsparcia ze strony przełożonych, frustracje wynikające z niemożliwości skorzystania z urlopu wypoczynkowego w okresie letnim, konflikty ról, konflikty z przełożonymi lub kolegami, konieczność realizacji przepisów, które nie uwzględniają realiów służby (szczególnie zaś deficytów kadrowych), konieczność stosowania środków przymusu bezpośredniego, mobbing, nadmierna biurokracja, nastawienie przełożonych na krytykę i surową ocenę, negatywny odbiór społeczny zawodu więziennika, niemożliwość samorealizacji, niewłaściwe stosunki między działami służby, niskie uposażenie (przypadki podejmowania dodatkowej pracy w czasie przeznaczonym na odpoczynek), poczucie niesprawiedliwości społecznej związane z nierównym obciążeniem obowiązkami, poczucie niesprawiedliwości wynikające z wyczulenia kierownictwa na prawa osadzonych bez uwzględnienia realiów służby, protekcjonalizm kadrowy i wykonywanie zadań wykraczających poza zakres obowiązków.

W skrócie: jest tak chujowo, że osobom z zewnątrz właściwie nie sposób pojąć realiów pracy z osadzonymi w ramach SW.

Lustrzane odbicie społeczeństwa

Fryderyk Engels, jeden z najwybitniejszych znawców strategii militarnej swoich czasów, przeszedł do dziejów wojskowości głównie dzięki jednej uwadze, tak błyskotliwej, że dzisiaj jawi się nam jako oczywista oczywistość. Przyjaciel Marksa zauważył mianowicie, że każda armia jest odzwierciedleniem stosunków społecznych w społeczeństwie, z którego się wywodzi. Dokładnie tak samo jest z armią funkcjonariuszy SW.

Jasne jest, że rację ma kryminolog, dr Paweł Moczydłowski (po upadku komuny szef polskiego więziennictwa przez parę lat), że SW potrzebuje zmian. Pewnie prawdą jest, jak mówił Moczydłowski w rozmowie z PAP, że może i połowa funkcjonariuszy nie nadaje się do tej roboty, a obecny system rekrutacji pomija kwestię odporności psychicznej kandydatów.

Kluczową rolę odegrała tu idea państwa karzącego PiS, której wdrażanie spowodowało przeludnienie w więzieniach fatalnie wpływające na funkcjonariuszy, zmuszające często do zarządzania strachem i przemocą.

Po 2020 r. zaczął się poważny kryzys kadrowy, było 4–5 tys. wakatów, toteż szybko obniżono standardy, aby je zapełnić. Doświadczeni klawisze mieli tego dość i odchodzili z pracy, trudno było znaleźć ludzi na ich miejsce. A nawet jak się już znajdowali, czasem odchodzili po paru dniach, gdy zderzyli się z rzeczywistością świata za kratami. Dr Moczydłowski twierdzi, że zna przypadki, gdy tak powiększono sito selekcji do służby, że przecisnęli się przez nie… kryminaliści znający więzienie od strony osadzonych!

Sięgnęłam do tekstu Moczydłowskiego z 1994 r., zamieszczonego w „Przeglądzie Więziennictwa Polskiego". Czytamy w nim, że personel penitencjarny powinien spełniać standardy rodem z raju, jeśli nie wyższe: być czysty moralnie, prawy, pozytywnie ustosunkowany do więźniów, odporny na agresję społeczną i potrafiący sprawować władzę wynikającą z moralnego autorytetu.

Papier się nie rumieni i zniesie wszystko. Z realiami nie ma to jednak wiele wspólnego.

Mój dobry znajomy znający SW od środka wciąż powtarza przyszłym funkcjonariuszom: nikt nie rodzi się w więzieniu, ale dorasta i żyje w społeczeństwie, z niego trafia za kraty. W zakładzie karnym nie są zawieszone reguły, które panują na wolności: wręcz przeciwnie, są one egzekwowane jeszcze ściślej.

Myślę, że celną uwagę starego wygi można rozszerzyć: personel penitencjarny też nie rodzi się w więzieniu, lecz jest odbiciem społeczeństwa tu i teraz. Im bardziej będzie ono nasiąknięte strachem, nietajoną wrogością wobec innych, agresją i przemocą, tym więcej będzie funkcjonariuszy SW, którzy nie poradzą sobie z napięciem i będą tykającą bombą zegarową, która prędzej czy później wybuchnie.

A wtedy politycy będą znowu płakać, ale dalej nie skłoni ich to do wdrożenia koniecznych zmian. Aż do następnej tragedii, której można było uniknąć…

ZUZANNA JURCZYŃSKA

eprasa.pl 37a1455d59

Bajki dla myślących

Dialektyka prawa i sprawiedliwości

Chodzi o wartości

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Jak powszechnie wiadomo, praworządność nie musi oznaczać sprawiedliwości. Niby każdy to wie, ale na co dzień wielu z nas ulega raczej podsuwanemu nam zewsząd łatwemu schematowi myślenia, że jeśli coś zgodne jest z prawem, to też jest sprawiedliwe. Przyzwoici sędziowie starają się włączać przetwarzaną w swym sumieniu sprawiedliwość w treść opartych na prawie wyroków. Często jednak kaleczą swe sumienia, ulegając zimnym i niesprawiedliwym przepisom prawa – bo to przecież prościej i z punktu widzenia sędziowskiej kariery bezpieczniej. Pewien znajomy sędzia powiedział mi kiedyś, że taka sytuacja jest dla niego jak „bolesna dialektyka". Moja głupia mina upewniła go, że niezbędne jest, aby mi to wyjaśnić. „Istotą dialektyki – powiedział – jest dla przykładu sytuacja, jaka ma miejsce podczas badania per rectum. Lekarz wkłada ci palec w dupę, więc ma on palec w dupie. Ale ty przecież też masz palec w dupie... a to zupełnie inna sytuacja – dialektyka".

A tak przy okazji.... Tę dialektyczną zależność – czy jak lepiej powiedzieć: sprzeczność – ma wpisane w swe logo i nazwę jeszcze niedawno rządząca partia. Myślę, że mając zamiar budować populistyczny i autorytarny system oligarchii, dobrze dobrali nazwę partii do charakterystyki swojej polityki – jako oksymoron.

Ale idąc śladem dygresji o dialektyce, należy zauważyć, że działanie w imię sprawiedliwości nie zawsze może być praworządne – czyż nie tak?! A jako niepraworządne niemal zawsze jest ścigane i tępione przez prawo. Doświadczyło tego pikietujące na różne sposoby w sprawie katastrofy klimatycznej Ostatnie Pokolenie czy choćby osoby niosące pomoc uchodźcom na granicy polsko-białoruskiej.

Ze wszystkich stron powiada się nam, że państwo prawa to wartość sama w sobie, a praworządność wyjaśnia i usprawiedliwia wszystko. Wszak fundamentem i spoiwem państwa jest prawo. Tak, rzeczywiście myślę, że państwo to wartość. Państwo i jego instytucje organizują nam zbiorowe życie. Może ono dawać nam poczucie bezpieczeństwa, wspomagać, chronić inne wartości. Jednak nie sposób nie zauważyć, że te dobre i pożyteczne cechy dotyczą wyłącznie państwa, w którym prawa są sprawiedliwe.

Nie ma tu miejsca na spisanie listy dziejących się niesprawiedliwości, ale wspomnę, że ostatnio poruszyła mnie decyzja sądu, aby zwolnić z aresztu złodzieja, który nakradł wiele milionów, za kaucją wielokrotnie niższą niż łup. W ten wzięty żywcem z Ameryki sposób sąd wyznacza drogi polskiej sprawiedliwości.

Jak ma zachować się zatem wrażliwy na niesprawiedliwość człowiek, który jednocześnie docenia koncepcję państwa i szanuje prawo? Co robić ma w obliczu spotykanej na każdym kroku niesprawiedliwości? Czy tak jak wspomniany wyżej sędzia odbijać się od ścian owej dialektycznej zależności, w walce sprawiedliwości z praworządnością, bez możliwości rozwiązania problemu? Czy narażając się na represje wystąpić przeciw niesprawiedliwym prawom? Czy odwrotnie: postąpić bez tego ryzyka i złamać własne sumienie – uznać prymat niesprawiedliwego prawa? A może lepiej zwyczajnie wyprzeć problem i nie zauważać zła oraz niesprawiedliwości – tak robi większość.

Myślę, że zbliżające się wybory (te i każde następne) to dobry moment, żeby pochylić się nad naszymi moralnymi dylematami, o jakich piszę, bo sprawiedliwość i idąca z nią w parze wrażliwość na drugiego człowieka staje się w naszej rzeczywistości zjawiskiem coraz bardziej wyjątkowym.

Dla mnie wybory, poza wszystkimi względami praktycznymi, to przede wszystkim akt moralny – wybór pomiędzy dominującymi wartościami, których poszukuję i spodziewam się u kandydatów, a sprawiedliwość, o której dziś piszę, jest jedną z najważniejszych wartości.

Oczywiście oszukano mnie kilka razy. Niejeden raz ktoś zawiódł moje zaufanie. Ale piszę to wyznanie, bo wierzę, że nasza wspólna, wyrażona w głosowaniu mądrość nie pomyli się.

Pewnie domyślacie się, że ktoś, kto bajki opowiada, chciałby stworzyć bajkową utopię i siłą czarodziejskiej różdżki przekształcić ją w rzeczywistość, ale nie potrafi tego zrobić z prostego powodu: bo nie ma takiej różdżki. Ale nawet przy okazji polskich wyborów (mimo że są przejawem schorowanej demokracji) warto zadbać nie tylko o bliźniego, ale także o siebie, o swoją kondycję moralną i zagłosować za sprawiedliwością. Przecież wiesz jak!

ANNA GRODZKA

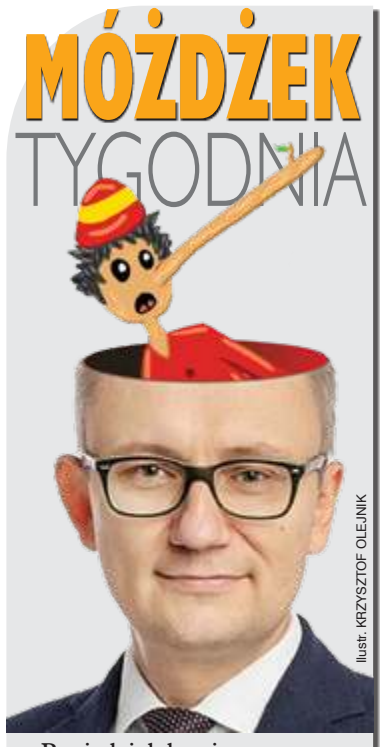

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Poniedziałek wieczorem, stacja telewizyjna Polsat News, red. Agnieszka Gozdyra rozmawia o przed momentem zakończonej debacie przedstawicieli sztabów wyborczych: najpierw z prof. Markiem Migalskim, potem z politykami – pisowskim doradcą prezydenta Dudy Błażejem Pobożym, posłem Polski 2050 Sławomirem Ćwikiem oraz lewicowym wiceministrem rozwoju i technologii Tomaszem Lewandowskim. Temat: kawalerka kandydata Nawrockiego.

Najpierw rozwija się Poboży: pierdoli jak potłuczony królik na sterydach – o tym, że Nawrocki nie jest chciwym kombinatorem, lecz dobroczyńcą, filantropem, ma serce jak dzwon Zygmunta, a pana Jerzego (od którego „przejął" mieszkanie) „uratował przed kryzysem bezdomności". Naprawdę tak powiedział! Poboży jest wiarygodny jak Pinokio po lekcji u Morawieckiego, co w spokojny, ale jednoznaczny sposób uprzytamniają mu Ćwik i Lewandowski. Punkt po punkcie, krok po kroku, zdanie po zdaniu. Źli jesteście wy, pazerni pisowscy cwaniacy, Nawrocki o polimerowym uśmiechu i broniący go obłudnicy tacy jak Poboży. Jedyne, co moglibyście dobrego zrobić, to zniknąć z polityki raz na zawsze. Z akcentem na „na zawsze".

Plotki krążą po Warszawie. O strachu, jaki zapanować miał w sztabie wyborczym Rafała Trzaskowskiego. Zgromadzeni tam spece od wygrywania wyborów boją się, że konkurencja ze sztabu wyborczego Karola Nawrockiego wykorzysta książkę napisaną przez Rafała Trzaskowskiego. Do jego totalnego oczernienia. To może być łatwe, bo książka jest wspominkowo-refleksyjna. Prezentuje Trzaskowskiego opowiadającego o Trzaskowskim.

Książka istnieje naprawdę. Są świadkowie, którzy ją widzieli. A kilku nawet sfotografowało jej okładkę. To bardzo ważne, bo w tej kampanii wyborczej liczy się tylko to, co udało się sfotografować. Byt niefotografowany i niewrzucony potem w media nie istnieje.

Są też osoby, które książkę Trzaskowskiego przeczytały. Sztabowcy ze sztabu Trzaskowskiego i sztabu Nawrockiego. Korekta na pewno. Znajomi Rafała ciekawi, co o nich napisał. Pozostali obywatele III RP najczęściej o niej usłyszeli. Przymusu czytania jeszcze nie ma. Zwłaszcza że bywają książki przeznaczone przede wszystkim do pokazywania ich przez ich autorów. Napisanie książki niedawno wielce nobilitowało. A może pogrążyć kandydata na prezydenta RP.

Oczywiście treść owej książki nijak się ma do planu oczernienia wrażego kandydata. Nieważne jest, co Trzaskowski naprawdę kiedyś o sobie napisał, lecz interpretacja tego przez konkurentów. Masowo upowszechniana potem w internecie i przychylnych mediach.

Z taką manipulacją nie da się walczyć, bo w Polsce kiepsko jest z czytaniem ze zrozumieniem. Zwłaszcza tekstu ironicznego lub autoironicznego.

Trzeba przypomnieć, że wcześniej sztabowcy Trzaskowskiego i przychylne mu media wykorzystały do oczerniania konkurenta książkę napisaną przez Nawrockiego, ale pod pseudonimem Batyr. O bandycie fascynującym Nawrockiego, czyli też trochę o nim samym.

I oto mamy pierwszy wniosek z kampanii. Idealni kandydaci na prezydenta RP nie mogą pisać książek. Każda bowiem może być użyta przeciwko nim. Pogrążyć ich szanse.

Nie gęsi

Kulą u nóg kandydatów stały się w tej kampanii wyborczej też języki obce. Kandydaci czasem deklarują ich znajomość, ale nie popisują się tym w mediach. W trakcie kampanii wyborczej trwa bowiem gorąca licytacja poziomów polskości posiadanych przez kandydatów. Tu jest Polska, zatem myślimy po polsku, wzdychamy po polsku, mówimy tylko po polsku. Nawet kiedy zdarzy nam się

PLURALIS MAIESTATIS

Święty ogień pana Brauna

Pod znakiem gaśnicy

Europarlamentarzysta i pretendent do pełnienia urzędu prezydenta RP Grzegorz Braun twierdzi, że jest demokratą praktykującym a niewierzącym. Patrząc na to z perspektywy katolików praktykujących a niewierzących, niegdyś socjalistów praktykujących a niewierzących, w zalewie polskiej hipokryzji Braun wydaje się kandydatem idealnym na Najwyższy Stolec.

W swoich materiałach wyborczych Braun ma wywiad, którego udzielił Radosławowi Paciejewskiemu i Sylwestrowi Wiśniewskiemu. Punktuje w nim swoich przeciwników słowami: „Z całym szacunkiem, a w jednostkowych przypadkach nawet i szczątkową sympatią, jak już powiedziałem, nie widzę wśród pretendentów nikogo, kto startowałby w tej samej kategorii, kto szedłby po odzyskanie niepodległości. Wszyscy inni prezydenccy pretendenci chcą urządzać się w ramach zadanego przez innych, określonego przez starszych i mądrzejszych status quo. Ja chcę zastany układ zakwestionować, nie zaś dostosowywać się do niego i negocjować zakresu wolności, prawa do zachowania godności i majętności przez Polaków. Myślę, że to mnie wyróżnia". Niewątpliwie przyznanie w wywiadzie przez Brauna, że nie chce urządzać się w ramach określonego przez „starszych i mądrzejszych status quo" mnie wzrusza, choć sam Braun wydaje się za stary na bunt nastolatka, któremu hormony lasują mózg. Co zaś do wyjątkowości, to ja bym tak nie rumakowała… Braunizm to zjawisko występujące w społeczeństwie, i to na pewno nie tylko polskim. Sama znałam ze trzy albo cztery osoby cierpiące na podobną przypadłość. Były to jednak osoby prywatne, a nie osobowości czy twory polityczne.

Zasadniczo braunizm dotyczy raczej mężczyzn niż kobiet, choć ja poznałam i braunistyczną kobietę. Niestety obecność owej pani psuje moją teorię, że braunyim można uleczyć tabletką Viagry, ewentualnie z przystawką w postaci kurwy, żeby się chłop wytrzepał i nienawiść do całego świata mu przeszła. Niektórzy faceci przedłużają sobie ego sportowymi samochodami, Braun – przedłużył sobie gaśnicą. Wracam do tej gaśnicy, bo oto z materiałów kampanijnych dowiaduję się, że zwolennicy Brauna masowo przychodzą na wiece z gaśnicami, aby wódz się nań podpisał. Przecież gaśnica ciężka jest! Ale nie mogę nie docenić zaangażowania. Ja jako pisarka już się przyzwyczaiłam, że częściej składam autografy na kartkach z zeszytu czy serwetkach niż na własnych książkach. Zaangażowanie oznacza, że ni mniej, ni więcej, tylko Braun wykorzystał podskórny społeczny trend, na który składa się kilka nitek smolistych przesądów, i wywalił to gejzerem gaśnicy na zewnątrz. Nie wiem, dlaczego przypominają mi się pierwsze kadry filmu „Aż poleje się krew" (ropa bije w niebo), wszakże tutaj jest raczej radioaktywne kapanie z siura niż wytrysk. Najwyraźniej i jadowite kapu kap może zaszkodzić demokracji. Którą – parafrazując starego wicemarszałka Andrzeja Kerna – używa się po braunowsku, jako narzędzie gwałtu na państwowości, a co za tym idzie: praworządności. A może na odwrót. W końcu bez prawa państwo to tylko wydmuszka. Braun gaśnicą dmucha Polskę, a tłumek, odstawiwszy swoje gaśnice, mu przyklaskuje. Plask! Plask! Plask!

„Nie ma równości wobec prawa pod świecznikiem chanukowym, tam jest podział jasny i wyraźny na ludzi i nadludzi, na naszych, nie naszych, na ludzi i zwierzęta, bydło. To są słowa talmudystów. (…) Gdybym miał obok tego przejść obojętnie, to Państwo, moi Rodacy, Czytelnicy tej gazety, moglibyście zasadnie mnie z tego rozliczać i za to potępić. Nie przeszedłem obojętnie i rad jestem, że mogłem się tutaj wywiązać z moich politycznych, patriotycznych i ludzkich, katolickich obowiązków" – nadaje dalej Braun we wspomnianym już wywiadzie w gazetce kampanijnej „Tu jest Polska". Może i „Tu jest Polska", ale Braun nie zauważył, że nad

eprasa.pl 37a1455d59

Między bon żulem a bonżurem

Zobaczyliśmy, co łączy narodowo-katolickiego Karola Nawrockiego z religijnymi Żydami.

GADMAN

pierdnąć, to pierdzimy też narodowo i swojsko.

Dlatego pewnie nie dowiemy się, jak biegle mówi po rosyjsku czy zna też białoruski, kandydat Maciej Maciak. Nie wiemy, czy kandydat Sławomir Mentzen zna jakieś inne języki niż ten z przemówień wykutych na pamięć i odtwarzanych na wiecach. Klasyczną łacinę zna podobno kandydat Szymon Hołownia, ale i tak nie znajduje wspólnego języka z hierarchami polskiego Kościoła kat.

Jedynie znajomość angielskiego uchodzi w tej kampanii za poprawną politycznie i pożądaną. Bo jest to język prezydenta Donalda Trumpa. Najjaśniejszego gwaranta polskiego bezpieczeństwa i suwerenności polskiego państwa.

Znajomość innych języków obcych, zwłaszcza francuskiego, dyskredytuje takich kandydatów w narodowo-prawicowych mediach. One chcą wykreować alternatywę. Wybór między wielkomiejskim, salonowym, tęczowym „bonżurem" Trzaskowskim a swojakiem z polskiego ludu Nawrockim. Dawnym żulem, który własną pracą wyszedł na ludzi. Został „bon żulem". Karkiem, ale potrafiącym też głową popracować.

Flaga do zajebania

Ton tej kampanii wyborczej nadawały flagi. Zaczęło się od tęczowej wciśniętej podczas debaty Trzaskowskiemu przez Nawrockiego. Była jak ta gorąca cegła podana Mateuszowi Birkutowi. Odrzuconą flagę przytomnie przejęła kandydatka Magdalena Biejat. Za co zdobyła mołojecką sławę i masowy zachwyt wszystkich mediów, nawet narodowo-katolickich. Wcześniej Biejat wiele razy deklarowała, że popiera postulaty środowisk LGBT, ale media głównego nurtu nie wspominały o tym. Wystarczyło jednak pomachać flagą i media zgodnie wykreowały ją na rzecznika praw LGBT. A potem odtrąbiły jej dwuprocentowy wzrost poparcia.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Czy tamto dzierżenie tej flagi da kandydatce Lewicy głosy tego środowiska?

Moje dotychczasowe doświadczenia wyborcze sugerują, że kierując się politycznym wyrachowaniem i estetyką, zagłosuje ono przede wszystkim na Trzaskowskiego. A grupa głosujących „sercem" gejów wskaże na mięśniaka Nawrockiego.

Tęczową flagę rychło przykryła medialnie biało-czerwona. Bałaganiarsko pozostawiona przez sztab Nawrockiego i chwacko przejęta przez drużynę Trzaskowskiego. Jak łup wojenny.

Kiedy byłem harcerzem, to też wykradaliśmy proporce konkurencyjnej drużynie z ich obozowiska. Nocą, przechytrzając ich warty. Teraz takie harcerskie zabawy nabrały wielkiej powagi. Są w polskich mediach traktowane jako test na polskość kandydatów. Ostateczny dowód ich patriotyzmu. Bez cienia myślenia.

A czy widzieliście poważnego prezydenta poważnego państwa, który nosi ze sobą jakąś flagę? Dzierży ją dumnie i pociera?

Czekam, kiedy któryś ze sztabów wyborczych pokaże zdobyczną garderobę kontrkandydatów. Chińskie majtki, ruskie onuce, kalesony prane tylko w niemieckiej chemii. Ostatecznie i na zawsze dyskwalifikujące kwalifikacje przeciwnika.

Walki w klatce

Zaroiło się nam w tej kampanii od debat, debatek, pojedynków na słowa. Pierwszą firmowała telewizja publiczna.

Czyli TVP SA w stanie likwidacji. Została zapamiętana tamta debata jedynie jako komedia pomyłek. A także nieudana intryga sztabowców Trzaskowskiego.

Trzeba przypomnieć, że media publiczne nadal mają ustawowy obowiązek organizowania debat w czasie kampanii prezydenckiej. Muszą także dbać o merytoryczną jakość takiej debaty. Zamiast niej TVP SA najpierw wykonała usługę medialną dla sztabu wyborczego Trzaskowskiego, który chciał zwabić konkurenta Nawrockiego na ustawioną polityczną solówkę.

Sztabowcy Nawrockiego cwanie odpowiedzieli swoją debatą zorganizowaną przez swoją, ale komercyjną TV Republika. Tego samego dnia, też w Końskich. Aby przebić ofertę Trzaskowskiego, konkurencja od Nawrockiego zaprosiła wszystkich innych chętnych kandydatów. W efekcie były przynajmniej dwie debaty. Wszyscy grali przeciwko Trzaskowskiemu.

Ale dziś już niewielu pamięta, kto i z kim wtedy debatował. Kto co kiedy powiedział.

Zwłaszcza że rychło inne media komercyjne, jak „Super Express", wykorzystały pomysł TV Republika i urządziły swoje debaty. Wedle ustalonych przez siebie reguł. Ponieważ media komercyjne nie mają ustawowego obowiązku organizowania rzetelnych merytorycznych debat, ponieważ media komercyjne utrzymują się ze swej popularności, bo ona napędza reklamodawców, to w tych debatach widowiskowość zdecydowanie przeważała nad stroną merytoryczną. A widowiskowość napędzają pojedynki na flagi i pomówienia oraz radykałowie jak kandydat Grzegorz Braun.

Media publiczne przegrały w tych wyborach. Nie zorganizowały merytorycznej debaty. I pewnie jej już nie zorganizują. Nawet przed drugą turą wyborców. Bo w tej kampanii merytorycznej debaty sztaby już nie chcą.

Gwiazdy i support

Tegoroczna kampania prezydencka stała się komercyjnym widowiskiem medialnym. Dwaj najwyżej notowani kandydaci, Trzaskowski i Nawrocki, zostali obsadzeni w roli gwiazd tego szoł. Pozostali pełnią role supportu, przygrywając w przerwach między występami dwójki gwiazdorów.

Niektórzy z nich grają z sukcesami, podbijając swą popularność.

Jak w każdym rozpisanym na serial widowisku muszą być zwroty akcji i personalne niespodzianki. Kandydat Sławomir Mentzen został przez media wykreowany na gracza, który może przeskoczyć kandydata Nawrockiego. Choć żadne rzetelne sondaże na to nie wskazywały. Ale zawsze można zrobić sondaż, w którym Merntzen go przeskoczy. A to pobudzi emocje i stałe zainteresowanie kampanijnym widowiskiem.

Niedawno emocje podbił kandydat Nawrocki, który spotkał się w Waszyngtonie z prezydentem Trumpem. Zrobił sobie z nim fotki w Gabinecie Owalnym i podczas imprezy Narodowy Dzień Modlitwy. Podczas tego Dnia Modlitwy boksujący Nawrocki musiał przebijać się przez tłum podobnie rozmodlonych. Przede wszystkim zebranych tam religijnych Żydów.

Okazało się, że coś łączy narodowo-katolickiego Nawrockiego z amerykańskimi Żydami. To kult, wręcz religijny, prezydenta Donalda Trumpa.

Kiedyś europejskie książątka, pragnąc swego zwycięstwa, pielgrzymowały do cudownych relikwii świętych. Aby choć otrzeć się o nie. Pozyskać tak niezbędną im łaskę boską. Dziś kandydat na polskiego prezydenta wierzy w boską moc prezydenta Trumpa i cudowne działanie relikwii, fotek z nim.

Ciekawe, czy zwycięski Nawrocki urządzi w pałacu prezydenckim kapliczkę z cudowną figurą świętego Donalda?

PIOTR GADZINOWSKI

świecznikiem chanukowym, który raczył zdewastować, unosiło się sklepienie polskiego parlamentu.

Dobrze, że tak jasno kandydat punktuje obowiązki polityczne, patriotyczne, ludzkie i katolickie… Aż się podniosły prochy w Treblince i zaśpiewały kości w Jedwabnem. A pamiętajmy, że Braun wynalazł sobie i szereg obowiązków wobec ciężarnych kobiet, przedstawicieli LGBTQ, zwolenników UE i Ukraińców. Aż poleje się krew?

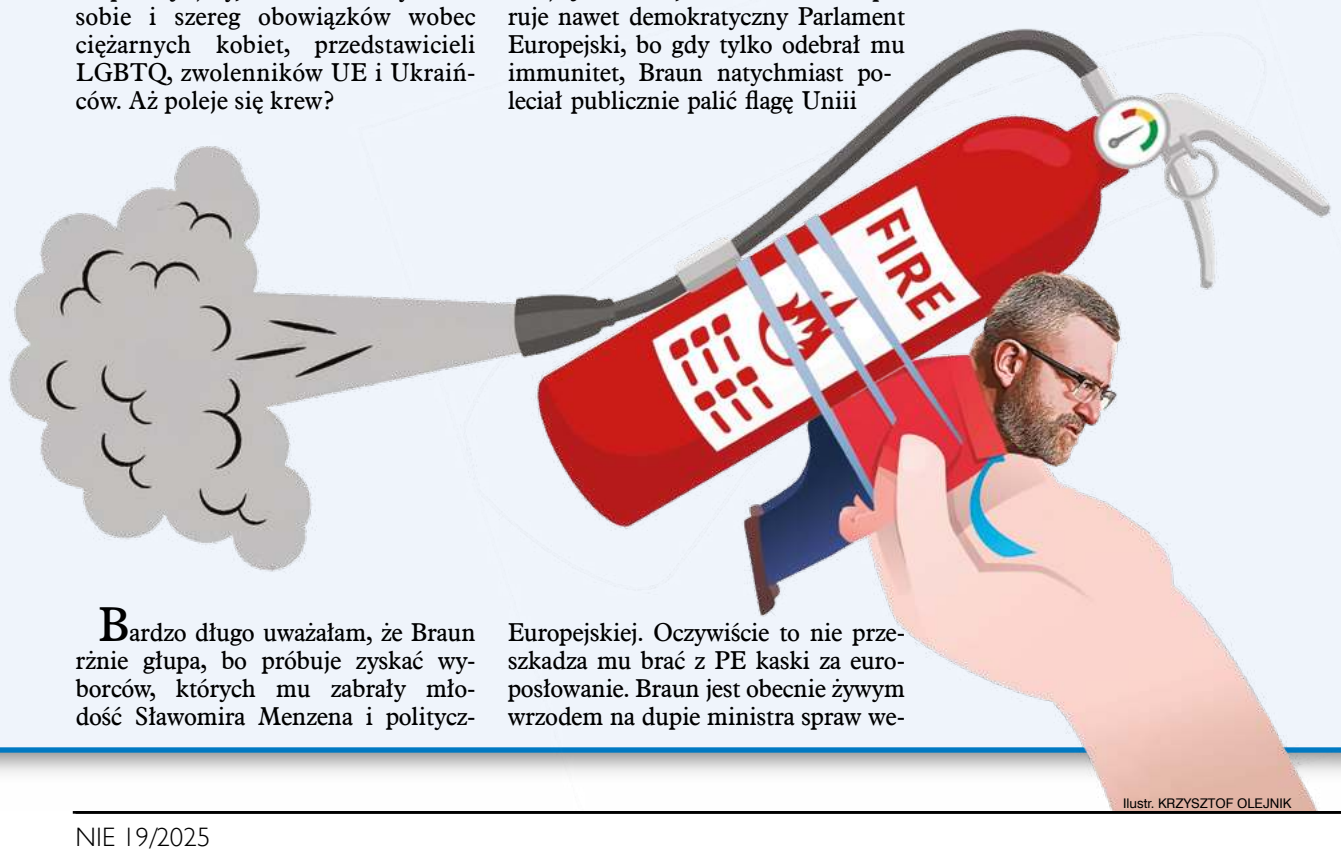

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Bardzo długo uważałam, że Braun rżnie głupa, bo próbuje zyskać wyborców, których mu zabrały młodość Sławomira Menzena i polityczne wyrobienie wicemarszałka sejmu Krzysztofa Bosaka. Myliłam się. Jak napiszę, że Braun jest niebezpieczny, to przydam mu społecznych punktów, a co za tym idzie, nadam mu więcej znaczenia. Jak tego nie zrobię, to zawczasu mogę pakować walizkę albo zapisywać się do szkółki bokserskiej. Jak widać, Brauna nie utemperuje nawet demokratyczny Parlament Europejski, bo gdy tylko odebrał mu immunitet, Braun natychmiast poleciał publicznie palić flagę Uniii Europejskiej. Oczywiście to nie przeszkadza mu brać z PE kaski za europosłowanie. Braun jest obecnie żywym wrzodem na dupie ministra spraw wewnętrznych Tomasza Siemoniaka i ministra sprawiedliwości Adama Bodnara. Na krótszą metę ból tyłka bardziej dotyczy tego pierwszego, bo Bodnar nie chodzi na rympał, a jeśli policjanci nie poczują się chronieni przez swojego nadszefa, to bardziej będą się martwić o swoją pracę niż o pacyfikację Brauna i jego kompanii. Najlepiej pokazują to wydarzenia w szpitalu w Oleśnicy. W moim odczuciu pani doktor Gizela Jagielska była pozostawiona sama sobie w czasie, kiedy Braun ze sforą chciał dokonać na niej „obywatelskiego zatrzymania".

Ja rozumiem, że Braun miał immunitet, ale dlaczego nie spacyfikowano i nie zapakowano do suk jego towarzystwa?

W ochronnym szpalerze nie wyprowadzono pani doktor – ani do pacjentki, ani do domu? Baliście się, że wam po premii polecą, mundurowi, czy że jak się zmieni władza, to dostaniecie wilczy bilet? Siemoniak powinien sporządzić bardziej lub mniej widoczny glejt dla funkcjonariuszy, którzy będą mieli do czynienia z pomagierami Brauna. Bo tutaj chodzi o *ratio status*. Tym razem – tak. Jak nie wierzycie, to popraktykujcie i przeczytajcie braunowskie materiały kampanijne.

„Jest to znak głębokiego patriotycznego porozumienia na gruncie wspólnoty zasad i wspólnoty tęsknot Polaków za tym, co albo już utracili, albo widzą, że mogą lada chwila utracić bezpowrotnie. Tego znakiem jest gaśnica i mnie osobiście cieszy niewymuszona lekkość tego znaku – rzecze pan Braun. Gaśnica to narzędzie – można pianą z niej ugasić pożar, na przykład stodoły pełnej ludzi albo płonącego, pełnego ludzi ośrodka dla emigrantów. Można strzelić pianą napastnikowi w twarz. Albo można mu zajebać samą gaśnicą. Wiem, mam, posiadam – trzymam przy drzwiach balkonowych. I nie zawaham się jej użyć! A dostałam w prezencie od ludzi zaniepokojonych wzrostem nienawiści w Polsce, bo nie tym, że mogę ulec samozapłonowi z wkurwienia albo zapalić się od papierosa. Niewymuszona lekkość tego znaku cieszy pana Brauna? No, chodź, draniu! Wszakże Kundera w „Nieznośniej lekkości bytu" twierdził, że egzystencja pozbawiona głębszych emocji jest pozbawiona sensu. O czym wiem ja, ty i twoi wyborcy, antysemito Braun.

IZABELA SZOLC

eprasa.pl 37a1455d59

Zasadniczo wynagrodzeni

Komu garba od roboty?

Wspomnienie majówki rozwiało się jak dym z grilla. Skupiony na zwęglonej padlinie i flaszce naród przeoczył orędzie premiera Donalda Tuska z okazji Święta Pracy, a szkoda. Szef rządu mówił długo i pięknie: „Dobra praca to największy skarb, za który należy się nie tylko dobra zapłata, ale też najwyższy szacunek i wdzięczność całej wspólnoty” – podkreślił. No to, rodacy, będziecie się musieli nażreć tym szacunkiem, bo z końcem kwietnia rząd wycofał się z planów zrównania wynagrodzenia zasadniczego i płacy minimalnej.

Od sierpnia ubiegłego roku w rządzie trwały prace nad projektem nowej ustawy o płacy minimalnej. Reforma przepisów miała między innymi dostosować polskie prawo w tym obszarze do unijnej dyrektywy, której celem jest poprawa warunków pracy oraz życia pracowników, zminimalizowanie ubóstwa pracujących i wsparcie spójności społecznej. Jednym z najważniejszych – z punktu widzenia ludzi pracy – założeń unijnego glejtu jest zrównanie płacy minimalnej z wynagrodzeniem zasadniczym, bez wliczania zmiennych dodatków.

Rys. WIDGET

Aktualnie wynagrodzenie minimalne i wynagrodzenie zasadnicze rządzą się różnymi prawami. Wynagrodzenie zasadnicze to stała kwota wypłacana co miesiąc pracownikowi, do której nie są wliczane nagrody, premie i dodatki (takie jak np. wynagrodzenie za nadgodziny czy dodatek stażowy). Wynagrodzenie minimalne zaś obejmuje nie tylko wynagrodzenie zasadnicze, ale i wspomniane pozostałe świadczenia wynikające ze stosunku pracy, z wyłączeniem kilku z nich, jak dodatki za szczególne warunki pracy, odprawę za przejście na rentę czy emeryturę, robotę w porze nocnej albo nagrodę jubileuszową.

W praktyce oznacza to, że wynagrodzenie zasadnicze, czyli stała i niezmienna składowa wypłaty, którą pracownik ma wpisaną w umowie o pracę, może być niższe niż ustalona urzędowo minimalna stawka,

a dopchanie wszystkich premii, nagród i dodatków, jakie otrzyma pracownik, sprawia, że najniższa krajowa jest zachowana. I choć precedens tworzy, delikatnie mówiąc, pole do srogich patologii, zarówno pracownicy, jak i Państwowa Inspekcja Pracy mogą co najwyżej gorzko nad tym faktem zapłakać. To miało się zmienić i przełożyć (przynajmniej w teorii) na lepsze zarobki.

Polska miała czas na implementację dyrektywy do 15 listopada 2024 r. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej pod kierownictwem minister Agnieszki Dziemianowicz-Bąk zabrało się ochoczo do pracy, żeby zrobić pracownikom dobrze od stycznia 2026 r. Niestety przyszły inne resorty z Ministerstwem Finansów pod batutą Andrzeja Domańskiego na jego czele, żeby popsuć efekt.

Ministerialne gremium poczuło pieczenie, bo nie jest żadną tajemnicą, że ten model wyliczania dodatków w sposób szczególny dotyczy budżetówki, gdzie są obecne systemy, które w założeniach mają realizować cele pracodawców i pracowników, lecz są oparte na stałych kwotach wpisanych do aktów prawa pracy – rozporządzeń, ustaw, regulaminów i układów zbiorowych, niekiedy niezmienionych od kilkunastu lat.

Ministerstwo Klimatu i Środowiska zaczęło bić na alarm, że wyłączenie dodatków, premii i nagród z uzupełnienia wynagrodzenia minimalnego może spowodować konieczność zwiększenia kwot na dotację dla parków narodowych. Ministerstwo Sprawiedliwości prędko oszacowało, że dodatkowe koszty nowych regulacji jedynie dla budżetu Służby Więziennej wyniosłyby ok. 3,5–4 mln zł rocznie. Wiceminister finansów Paweł Karbownik powiedział wprost: „Z uwagi na wpływ tej zmiany na podmioty gospodarcze oraz budżet państwa, szczególnie dodatkowe koszty, jakie mogą wystąpić – takie rozwiązanie budzi poważne wątpliwości”. Powtórzę dla jasności: Ministerstwo Finansów w rządzie Donalda Tuska uznało zrównanie płacy minimalnej z wynagrodzeniem zasadniczym (które miało ograniczyć segmentację rynku pracy i wzmocnić pozycję najsłabiej wynagradzanych) za kwestię, która „budzi poważne wątpliwości”.

Skutkiem zbiorowej ministerialnej obstrukcji w kwietniu ukazała się nowa wersja projektu resortu pracy, która przewiduje, ze wyłączenie poszczególnych składników z minimalnego wynagrodzenia będzie się odbywało etapami. Od 1 stycznia 2026 r. ma zostać wyłączony dodatek funkcyjny, od 1 stycznia 2027 r. – inne dodatki, a od 1 stycznia 2028 r. – premie i nagrody.

Propozycja zdobyła przychylność ekonomistów, którzy z troską spoglądali na sytuację przedsiębiorców zagrożonych, biedaczków, wzrostem kosztów pracy w najbardziej dziadowsko płatnych sektorach jak handel czy gastronomia. Może rozłożenie zmian na lata jeszcze bardziej udziadowi pracowników, ale za to pozwoli przedsiębiorstwom dostosować się do nowych realiów. Etapowy sposób wyłączenia poszczególnych składowych z zakresu minimalnego wynagrodzenia nie zadowolił jednak wiceministra finansów. Według Karbownika proceder jedynie odracza w czasie poniesienie dodatkowych obciążeń. O powrót do pierwotnych założeń projektu zaapelowało Ogólnopolskie Porozumienie Związków Zawodowych. Organizacja w oświadczeniu podkreśliła, że proponowany w ubiegłym roku projekt był długo oczekiwanym krokiem w stronę bardziej sprawiedliwego rynku pracy i z niepokojem przyjęła rozwiązanie przewidujące rozłożenie reformy w czasie aż do 2028 r. Próżny trud, klamka zapadła.

Owocnej pracy, rodacy. Odbierając wypłatę, pamiętajcie, że pan premier jest z was dumny.

IDALIA DUBICKA

SŁOWO CZERWONE

Praca każdemu, luksusy konfiarzom

Rys. WIDGET

Wiele wskazuje na to, że po następnych wyborach parlamentarnych dojdzie do zawiązania koalicji między PiS i Konfederacją. Ceną za pozyskanie sojusznika, który umożliwi skompletowanie większości sejmowej, będą ustępstwa w sprawach, które wcześniej dawały partii Jarosława Kaczyńskiego poparcie dużej części klasy ludowej. Aby wrócić do władzy, PiS będzie musiało zrezygnować ze swojej polityki społecznej.

O tym, że w sprawach społecznych i ekonomicznych PiS skręca w prawo, świadczy linia propagandowa jego mediów. Ich przesłanie jest coraz częściej sprzeczne z wypowiedziami prezesa, który wciąż trzyma prospołeczny kurs. Powszechny jest pogląd, że pisiory wprawdzie kradną, ale się dzielą. Tymczasem liberałowie transfer socjalny uruchomiony przez Zjednoczoną Prawicę uważają za rozdawnictwo.

Trzaskowski coraz częściej głosi poglądy, które wcześniej głosił Mentzen. Ta mentzenowska, antyukraińska linia wyraziła się

Rozstanie PiS-u z ludem

w pomyśle, aby dzieciom uchodźców ukraińskich, którzy nie pracują, odebrać świadczenie 800 plus. A przecież przybyszów z Ukrainy nie ma sensu zapędzać do roboty, bo zdecydowana większość z nich pracuje, a płacone przez nich składki uratowały nasz system ubezpieczeniowy przed plajtą. Antyukraińskość Konfederacji staje się udziałem PiS. Coraz częściej na łamach TV Republika słychać putinowską narrację, która ma usprawiedliwiać rosyjskich agresorów.

Wstrzymanie transferów społecznych i cywilizowania rynku pracy przez przyszły prawicowy rząd sprawi, że otworzy się potężna przestrzeń polityczna dla autentycznej lewicy, czyli partii Razem.

W ostatnim sondażu partia Zandberga ociera się o próg wyborczy i depcze po piętach Nowej Lewicy. Coraz wyższe notowania Zandberga to wyraz lewicowej radykalizacji młodego pokolenia. I trudno się dziwić, skoro Razem walczy o mieszkania społeczne, które pozwolą młodzieży wyprowadzić się od rodziców i założyć rodziny, podczas gdy wiceminister Szejna z Nowej Lewicy wygłasza pochwałę chwilówek, które „napędzają koniunkturę”.

Propagandyści z Telewizji Republika bronią dopłacania do kredytów hipotecznych, co napędza ceny mieszkań do absurdalnych rozmiarów. Mimo że Kaczyński twierdzi, że program „Bezpieczny kredyt 2 procent” z czasów rządu Mateusza Morawieckiego był dowodem na to, że taka polityka mieszkaniowa jest niewłaściwa.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Życie w dobrobycie

● Trzeba wdrożyć przepisy unijnej dyrektywy, więc zasady naliczania pensji minimalnej ulegną zmianie. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej zaproponowało zatem wprowadzenie minimalnego wynagrodzenia za pracę jako płacy zasadniczej. Czyli miały zostać z niej wyłączone np. premie i nagrody. Okoniem stanęły inne resorty, jęcząc, że takie zapisy zrobią źle polskiej gospodarce. Konkretnie zaś pracodawcom zarówno publicznym, jak i prywatnym. Liberałowie wygrali i skończyło się na tym, że skorygowany projekt nie zawiera już minimalnego wynagrodzenia jako płacy zasadniczej. Dziś do minimum płacowego nie wlicza się nagród jubileuszowych, odpraw, nadgodzin, dodatków za pracę nocną, dodatków za staż i szczególne warunki pracy. Natomiast najzabawniejsze jest, że do minimalnej płacy wlicza się premie i nagrody, a nade wszystko dodatek funkcyjny. I to ma w ciągu następnych lat przestać być wliczane. Czy zatem Ministerstwo Finansów, Rozwoju i Technologii oraz MSWiA dlatego broniły się przed proponowanymi zmianami, bo w swoich strukturach zatrudniają za najniższe wynagrodzenia ludzi pełniących funkcje kierowników i dyrektorów?

● Zdaje się, że tak. Bo to chyba najniżej uposażeni urzędnicy przygotowali treść przyklepanej przez sejm ustawy o ujawnianiu cen mieszkań. Przepisy przewidują nowy obowiązek dla deweloperów, który ma sprawić, że zainteresowani nabyciem nieruchomości poznają jej cenę już przy przeglądaniu strony internetowej. Zobowiązano wszak deweloperów do podawania w sieci ceny mieszkania za metr kwadratowy i za cały lokal, informacji o wszystkich dodatkowych kosztach związanych z ofertą, czyli za miejsce parkingowe, ogródek czy garaż, oraz historii zmian cennika. Fajnie? Otóż nie. A to dlatego, że nowe przepisy nie obejmą mieszkań sprzedawanych w trakcie budowania, a jedynie gotowe. W efekcie zdecydowana większość rynku deweloperskiego pozostanie bez zmian, bo 80 proc. lokali jest sprzedawanych przed zakończeniem budowy. Najczęściej zaś w momencie wykopywania fundamentów. Media przychylne rządowi zakrzyknęły, że to rewolucja. Co świadczyłoby, że nie mają pojęcia, co mówią i piszą. Dla znawców problemu ustawa ta jest kolejnym przykładem bezsensownej regulacji skutkującej tym samym, co mieszanie łyżeczką w herbacie w celu uzyskania słodkości, ale bez wsypania cukru.

● Nie wiadomo, ile zarabiają oficjele odpowiedzialni za treść podpisanej przez prezydenta ustawy, która opóźni o trzy miesiące (do 1 października 2025 r.) wejście w życie nowych taryf na energię elektryczną dla gospodarstw domowych. Przepis ten ma pozwolić obniżyć ceny energii dla gospodarstw domowych po wrześniu, po wygaśnięciu ceny maksymalnej. Do końca września 2025 r. gospodarstwa domowe mogą więc korzystać z cen energii elektrycznej zamrożonych na poziomie 500 zł za MWh. Zamrożenie cen władza sprzedała ludności jako uratowanie domowych budżetów, a nawet przygotowanie firm energetycznych do obniżki taryf od października. Tymczasem chodzi o to, żeby państwowy sektor wydobywczy i elektroenergetyczny przez kolejny kwartał mógł łupić naród wysokimi cenami prądu. Gdyby nie było zamrożenia, to energia elektryczna już od lipca mogłaby być tańsza. Zdradził się z tym podczas prac nad ustawą w sejmie i senacie – zarabiający więcej niż minimum krajowe – wiceminister klimatu i środowiska Miłosz Motyka. Już parę miesięcy temu mówił wszak, że ceny energii na rynku hurtowym kształtowały się na poziomie poniżej ceny, którą właśnie zamrożono.

● To zatrudnieni na minimalnych wynagrodzeniach funkcyjni piszą pewnie Tuskowi spicze o radosnej deregulacji, wprowadzając kolejne przeregulowania. Takie jak choćby planowane wprowadzenie obowiązku pozyskiwania przez banki informacji, czy posiadacz rachunku nadal żyje, jeśli na rachunku nie odnotowano aktywności w ciągu pięciu lat. Oficjalnie chodzi o to, że zmiana ma umożliwić szybsze zamykanie rachunków uśpionych i ułatwić dostęp do środków spadkobiercom, a także ograniczyć ryzyka ich wypłat na rzecz osób nieuprawnionych. Tłumaczenie to jest żałośnie głupie. Bo spadkobierca, żeby dobrać się do

eprasa.pl 37a1455d59

PiS głosowało przeciw obniżeniu składki zdrowotnej, prezydent Duda to obniżenie dla przedsiębiorców zawetował, ale znaczna liczba posłów PiS po prostu nie przyszła na głosowanie. To są członkowie skrzydła liberalnego.

Między posłami PO i PiS nie ma dużej różnicy. Jednym i drugim jest bliższy interes biznesu niż ludu. Jednak pomysł, żeby coś dać uboższej połowie społeczeństwa, pozwolił PiS-owi wygrywać wybory, więc wbrew sobie poparli Kaczyńskiego, który wymyślił, co trzeba zrobić, żeby trwać przy żłobie. Teraz w obliczu sojuszu z Konfederacją i pod wpływem antyludowego Trumpa PiS w swojej masie wraca do koserwatywno-egoistycznego poglądu, że biedni są sami sobie winni, a zwycięzców nikt nie sądzi.

Jednak dzięki Razem, protestom lokatorskim, zaczyna być ważne, ile mieszkań mają posłowie i kto może dać gwarancję uruchomienia masowego budownictwa społecznego.

O obniżeniu składki zdrowotnej dla przedsiębiorców prezes Kaczyński mówi, że jest to niesprawiedliwe, bo biedni płacą wyższe składki niż bogaci. Za tą myślą poszedł Duda, wetując ustawę. Ale za plecami Dudy i Kaczyńskiego są młodsze wilki, które wolą iść za Mentzenem i jego egoistycznym programem. Polska solidarna zniknie więc zastąpiona przez elitarną i egoistyczną.

Uboższa połowa Polaków nie zyskuje nic na wzroście PKB. Oni zaczną orientować się na radykalną lewicę. Bo polityka społeczna PiS-u przestanie istnieć. Polska pod rządami PiS-u i Konfederacji będzie dużo mniej sprawiedliwa niż pod rządami neoliberalnej koalicji i Tuska. Bo co prawda praca będzie dla nas, ale dom i dwa samochody dla Mentzena i jego sponsorów.

PIOTR IKONOWICZ

Nienawiść i medycyna

Kto wilkiem jest, a kto owcą?

Nie do wiary, że mogło dojść do czegoś takiego. W najwspanialszej polskiej lecznicy, w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie, pacjent (z zawodu funkcjonariusz służby więziennej) wtargnął do gabinetu lekarskiego i zadźgał nożem swojego lekarza. Całkowicie niewinna osoba, ceniony i lubiany młody ortopeda, zginęła w miejscu pracy. Pracy, wydawałoby się, bardzo bezpiecznej. A jednak tak nie jest. Napaści na pracowników służby zdrowia zdarzają się często, a ich liczba ciągle rośnie.

Kiedyś słyszało się o takich przypadkach głównie w kontekście psychiatrii bądź interwencji pogotowia podczas pijackich burd. Dzisiaj agresja rozlewa się szeroko po placówkach medycznych. Odpowiedź na pytanie o przyczyny tego zjawiska nie jest prosta. Wciąż powtarzane przez establishment lekarski skargi na media, które szczują społeczeństwo na lekarzy, są tylko częściowym wyjaśnieniem i same też są jedynie częściowo prawdziwe. Owszem, często się zdarza, że jakiś pismak w byle jakim medium opowie nieprawdę o „horrorze", przez który przeszedł jakiś pacjent, najpierw długo lekceważony, a potem skrzywdzony przez lekarzy. Jednakże często jest tak, że akurat horror ma miejsce jak najbardziej, a gdy sprawa trafia przed sąd, to niekompetentny bądź po prostu stronniczy biegły zmusi sąd do wydania wyroku korzystnego dla lekarzy i szpitala. Nie jestem taki pewien, czy aby nie częściej udaje się lekarzom uniknąć słusznej krytyki ich poczynań, niż padają ofiarą krytyki niesprawiedliwej. Tak czy inaczej, oba zjawiska występują: zarówno krzywda pacjenta, dla której nie znajduje się zadośćuczynienia, jak i krzywda pomówionego lekarza. A jeszcze częściej pewnie się zdarza, że odszkodowania dla pacjentów są, ale za niskie, a krytyka może zbyt surowa, lecz niebezpodstawna. Jak to w życiu – szarości jest więcej niż nieskazitelnych bieli i czerni.

Na pewno większa powściągliwość i odpowiedzialność mediów mogłaby przyczynić się do zwiększenia bezpieczeństwa medyków. Jeszcze więcej zyskalibyśmy na powściągliwości prywatnych twórców różnych filmików w mediach społecznościowych, którzy potrafią bardzo emocjonalnie się skarżyć, rzucając niesprawiedliwe oskarżenia. Z drugiej strony ileż to jest w medycynie draństwa, o którym dowiadujemy się dopiero w wyniku poważnych śledztw dziennikarskich! Dwa przykłady z ostatnich lat: wciskanie ludziom pseudoterapii genowych, nieraz z tragicznymi skutkami dla chorych, oraz wmawianie tysiącom ludzi, że chorują na boreliozę wskutek ukąszenia przez kleszcza. Oficjalne czynniki jakoś nie mogą sobie poradzić z mafiami zarabiającymi krocie na tego rodzaju oszukańczych procederach. A co z tzw. homeopatią? Nawet w aptekach można kupić kuleczki z cukru, bezczelnie udające lekarstwo.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Nie, medycyna to nie pole, po którym hulają lekarze i piją kakao. Dzieje się tam wiele złego i wiele jest ludzkiej krzywdy, która czasami znajduje ujście w agresji. Najczęściej jest to agresja słowna, ale zdarza się, że któryś mocniej pobudzony albo wprost zaburzony pacjent poważy się na rękoczyny.

Paradoksalnie agresji w placówkach medycznych sprzyja moralna rewolucja w medycynie polegająca na przechodzeniu od modelu paternalistycznego w relacjach lekarzy z pacjentami do modelu demokratycznego, partnerskiego. Dawniej lekarze żądali od pacjentów pełnego posłuszeństwa i najczęściej tak właśnie się działo. Wystraszony pacjent już od progu był pokorny i gotów bez szemrania wykonywać lekarskie polecenia i zlecenia. Dziś jest inaczej – pacjent sam o sobie decyduje, a lekarz ma obowiązek nie tylko podawać mu wszelkie informacje, lecz przede wszystkim pytać o zgodę, a gdy to tylko możliwe, dawać wybór pośród dostępnych opcji leczenia. I właśnie to wzmocnienie pozycji pacjenta sprawia, że niektórzy zaczynają sobie wyobrażać, że lekarz to usługodawca jak każdy inny. A gdy jakiś przemocowy prostak ma w głowie taką właśnie kliszę, to stąd już tylko krok do chamskich odzywek i dwa kroki do przemocy fizycznej.

Korporacja lekarska nie wie, jak reagować. W Polsce samorząd lekarski po staremu wyobraża sobie, że można wymusić respekt dla lekarzy poprzez godnościową retorykę i odwodzenie członków korporacji od rozmów z dziennikarzami.

Że niby jak nie będzie się mówić o błędach i nadużyciach, to naród będzie lekarzy bardziej szanował. A to nieprawda. Jest odwrotnie – lekarze będą bardziej szanowani, gdy o tym, co w medycynie dzieje się złego, będzie się mówiło otwarcie i energicznie to naprawiało. Jawność i rzetelność w działaniu rodzą zaufanie, a z zaufania bierze się tak upragniony przez lekarzy prestiż. Niestety, w budowaniu atmosfery zaufania wokół medycyny poprzez transparencję i rzetelne naprawianie błędów stoją na przeszkodzie interesy tych, którzy byliby na uczciwości i przejrzystości medycyny stratni. Łowiący po cichu w mętnej wodzie wolą, aby zamiast jawności i zaufania panowały uraza i patos. I często tak właśnie jest. Zdarza się tragedia, jak ta w Krakowie, a korporacja szuka winnych wszędzie, tylko nie u siebie.

Oczywiście ten konkretny przypadek nie da się wprost wyjaśnić względami systemowymi. Ich działanie jest bardziej elementarne i ogólne niż realia konkretnie wydarzającej się tragedii. Jednakże patrząc z większego oddalenia, a więc i w szerszej perspektywie, widzimy konflikty i antagonizmy pomiędzy pacjentami i medykami. Widzimy sprzeczne interesy i wiele okazji do niesprawiedliwości. A że pacjent w tym wszystkim jest o wiele słabszy niż system, chociaż wszyscy mu mówią, że jest tu akurat najważniejszy, to w niejednym narasta frustracja i złość. Normalny człowiek sobie ponarzeka, ale jeden na milion – zaburzony albo po prostu przestępca – chwyci za nóż.

JAN HARTMAN

konta zmarłego i tak musi mieć wyrok sądu, a niektóre postępowania spadkowe trwają wiele dłużej niż pięć lat. A osoby nieuprawnione, jeśli do konta nie dobrały się przez rzeczone pięć lat, to nie dobiorą się i przez kolejne. Regulacja zaś sprawi, że w bankach trzeba będzie zatrudnić kolejne osoby, które będą miały do zrobienia coś bezsensownego. Zapłacą za ich wynagrodzenia oczywiście nie akcjonariusze, ale klienci banków.

● Ale klientów banków pewnie na to stać. Tak jak na wesela. Bo skoro sale weselne z wyżerką wynajmuje się na rok przed zaplanowanymi zaślubinami, to pęd do wydawania kasy w narodzie jest. I nic go nie powstrzymuje. I jeśli w 2024 r. średnie ceny talerzyka – w skład którego wchodzą wjeżdżające na stoły dania i napoje bezalkoholowe, bo wszak alkohol zazwyczaj para młoda organizuje we własnym zakresie – oscylowały wokół 300–500 zł za osobę, to w 2025 r. cena wzrosła do nawet 600 zł za osobę. W najbardziej prestiżowych miejscówkach stawki bywają jeszcze wyższe. W Bydgoszczy to średnio od 300 do 500 zł za osobę, a w poznańskim hotelu – 545 zł. We Wrocławiu i w Rybnie na Pomorzu talerzyk stoi od 275 do 360 zł za osobę. Żarcie i picie na weselu to jednak nie wszystko. Alkohol dla ok. 100 gości to wydatek rzędu 3000–5000 zł. Tort weselny kosztuje zazwyczaj od 1200 do 2000 zł. A jak komuś marzą się poprawiny, to musi doliczyć kolejne 160–200 zł za osobę. Czy państwu młodym nikt nie powiedział, że setki tysięcy złotych wpakowane w wesele to idiotyzm? Bo dla co drugiej pary już za kilka lat, tak przed rozwodem, jak i po rozwodzie, będzie wspomnieniem nader niemiłym.

● Setki kilogramów złota trafiły do klientów Mennicy Polskiej w pierwszym kwartale 2025 r. Przychody jedynego producenta sztabek złota inwestycyjnego w naszym kraju w rok zwiększyły się o 100 mln zł. Mennica Polska jest prywatną spółką, a jednocześnie czołowym producentem monet i numizmatów w Polsce oraz jedynym producentem sztabek złota inwestycyjnego w naszym kraju. I na pewno nie zatrudnia na stanowiskach funkcyjnych ludzi zarabiających minimalne krajowe wynagrodzenie. Firma dzięki wywołaniu niewielkiej paniki przez pierwsze trzy miesiące 2025 r. zarobiła prawie 40 mln zł. Rok wcześniej jej zysk był o połowę niższy – 18,8 mln zł. Panika dotyczyła bowiem rynku złota. Złota, które i tak było rekordowo drogie. W marcu pierwszy raz uncja, czyli około 31 gramów, przekroczyła 3 tys. dol., a w kwietniu notowania otarły się o 3,5 tys. dol. Każdy, kto ma trochę kasy i lubi spekulacyjną ruletkę, wie, że kupuje się „na dołku", a sprzedaje „na górce" notowań. Panika służy zaś temu, żeby jak najwięcej kupujących naciągnąć na kupno po najwyższej cenie. Dzięki wywołaniu paniki Mennica Polska sprzedała więc Polkom i Polakom 607 kg złota. Ludzi, którzy kupują akcje, waluty czy złoto drogo, rynek określa mianem leszczy. Wiadomo bowiem, że jak tylko trend się odwróci, to osoby te pozbędą się swoich zasobów za wszelką cenę. Z reguły z dużą stratą. Wtedy za psi pieniądz walory te kupią wyjadacze giełdowi. Dlaczego jednak leszczem okazał się kierowany przez Glapińskiego NBP? Bo jak inaczej określić to, że w ostatnich miesiącach, gdy złoto było hiperdrogie, polski bank centralny kupił kilkaset kilogramów kruszcu? Dziś ludzie Glapińskiego opowiadają mediom, jak to dzięki zwyżce cen złota NBP jest do przodu. Ciekawe, co będą mówili, gdy złoto zacznie z prędkością światła lecieć w stronę 2 tys. dolarów za uncję. Przy nowym szefostwie NBP za parę lat pewnie stracą robotę, a ze swoją fachowością na pracę w Mennicy Polskiej szans nie mają. Zostaną kierownikami i dyrektorami za minimalne wynagrodzenie w sektorze publicznym?

TTJ

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 37a1455d59

A trupy płyną...

Proces piątki z Hajnówki cd.

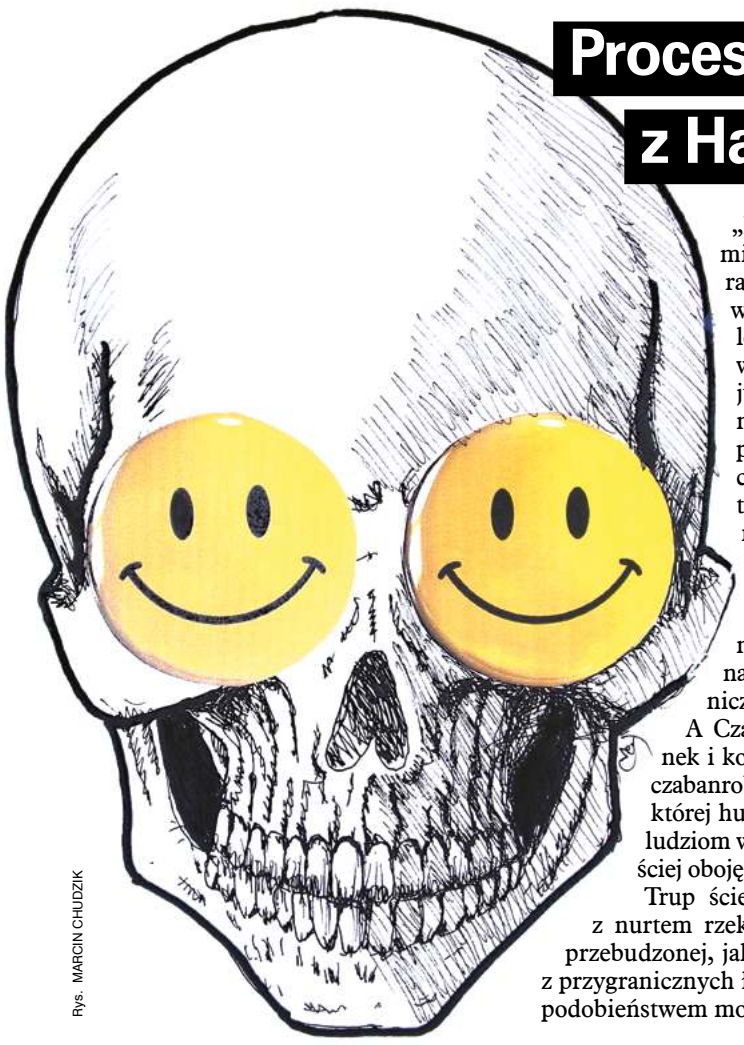

Rys. MARCIN CHUDZIK

„Dziewiąty zmarły w ostatnim miesiącu na pograniczu. Tym razem po stronie BY z Bugu wyłowiono mężczyznę. Odnaleziono go 18 kwietnia. Tylko w Bugu w kwietniu odkryto już siedem ciał (pięć w PL, dwa na BY). W innych miejscach pogranicza odnaleziono jedno ciało w PL i jedno na BY" – tweet tej treści ukazał się ostatniego dnia kwietnia na profilu byłego dziennikarza TVN Piotra Czabana na platformie X. Za wiele lajków nie dostanie, gdyż niekatolickie trupy na polsko-białoruskim pograniczu nikogo dziś nie obchodzą. A Czaban, jak i kilka jego koleżanek i kolegów z internetowej redakcji czabanrobiraban.pl to szlachetna nisza, której humanitarnym apelom o pomoc ludziom w drodze towarzyszy coraz częściej obojętność.

Trup ściele się jednak gęsto, spływa z nurtem rzeki, dostarcza świeżego białka przebudzonej, jak na wiosnę przystało, faunie z przygranicznych łąk i lasów. Z dużym prawdopodobieństwem można przyjąć, że

tych trupów byłoby o wiele mniej, gdyby najpierw pisowski, potem koalicyjny aparat państwowy nie dojeżdżał dla drobnomieszczańskiego komfortu prawicowej szurii ludzi, którzy od lat niosą pomoc.

Emblematycznym przykładem jest oczywiście historia tzw. piątki z Hajnówki której proces wchodzi, jak się wydaje, wyjątkowo szybko w fazę końcową.

15 kwietnia odbyła się druga rozprawa w tej sprawie. Mieliśmy nosa, jeśli chodzi o dalszy przebieg procesu, gdyż sędzia Adam Rodakowski oddalił wniosek prokuratury o wycofanie aktu oskarżenia w celu jego uzupełnienia o inne dowody („NIE", nr 13/2025). Na nic się więc zdały desperackie próby świeżo upieczonej prokuratorki Magdaleny Rutyny, która pokazała sądowi screeny wiadomości z komunikatorów internetowych. Miały w nich być – według jej opinii – „instrukcje" dla migrantów, jak bezpiecznie i szybko dostać się do zachodniej Europy. Rutyna wspomniała też o korespondencji jednej z oskarżonych kobiet z rzekomym organizatorem przemytu ludzi. – Oskarżona w konwersacji z organizatorem deklaruje możliwość płacenia kurierom z pieniędzy pochodzących od Polaków, które były przekazywane jako darowizny na rzecz pomocy migrantom. Ciężko zarobione pieniądze przez Polaków, które przekazywali zgodnie z ich przekonaniem na słuszny cel, były w istocie przekazywane na finansowanie handlu ludźmi i organizowanie nielegalnego przekraczania granicy – pojechała tanim populizmem przed sądem.

Czy tę „deklarowaną możliwość" oskarżona zrealizowała, Rutyna nie była w stanie potwierdzić. Sąd to inteligentnie wyłapał, a że prokuratura chce dorzucić oskarżonym paragrafy o płatnym przemycie ludzi – a więc przyklepać sankcje surowsze niż te dotyczące ich nakarmienia i zorganizowania odpoczynku – nakazał przygotowanie pisemnego uzasadnienia, jak te nowe „dowody" mają się do tej konkretnej sprawy.

– Nie dowiedziałem się z wypowiedzi pani prokurator, aby ten nowy materiał pozostawał w jakiejkolwiek relacji do zdarzenia historycznego objętego aktem oskarżenia – posumował obrońca piątki Radosław Baszuk.

Trzecia i ostatnia – jak zapowiedział sędzia Rodakowski – rozprawa w tym procesie ma się odbyć na cztery dni przed wyborami 18 maja. Wyrok, który wtedy być może usłyszymy, nie zapadnie więc w próżni społecznej. I będzie interpretowany – czy sąd tego chce, czy nie – jako deklaracja woli politycznej. Czy polską racją stanu ma być dalsza totalna militaryzacja łbów i otaczającej nas materialnej rzeczywistości? Czy jednak postawienie choćby symbolicznej tamy fali prawackiego populizmu w imię człowieczeństwa?

Tusk, nie musisz…

JMP

WIEŚCI GMINNE i INNE

Sezon letni jeszcze nie wystartował, a prokurator rejonowy w Białej Podlaskiej Michał Roman wszczął pięć postępowań w sprawie zwłok wyłowionych z Bugu w gminie Janów Podlaski. Śledczy wraz z biegłymi z Zakładu Medycyny Sądowej UM w Lublinie próbują ustalić, kim są denaci. Rzecznik Nadbużańskiego Oddziału Straży Granicznej kpt. Dariusz Sienicki ostrzega: Bug to nie basen w Mielnie. To rzeka dzika, zdradliwa i zdecydowanie nieprzeznaczona do nielegalnych przepraw wpław ani pontonem. Nie rzucajcie się zatem łatwowiernie w objęcia Buga, uciekając na Białoruś.

Narodowy Fundusz Zdrowia w całej swej rozbrajającej prostoduszności poinformował, że aż 40 proc. Polaków w wieku 65–74 lata nie ma... żadnych zębów. Zero. Kompletne bezzębie. Sześć na 10 osób po czterdziestce zmuszone jest do noszenia całkowitych lub częściowych protez. Spokój, z jakim państwowe służby mówią o tym dramacie, jest niemal budujący. Niczym próchnica w mleczaku: niby niegroźna, ale zwiastuje gnicie systemu. Zestawmy to z realiami rynku: w prywatnym gabinecie korona kosztuje więcej niż lodówka, a za leczenie kanałowe można by spokojnie pojechać na weekend do Toskanii – i jeszcze zostać na wtorek. Sprawa stanu uzębienia Polaków powinna być tematem narodowym. Może nawet punktem debaty prezydenckiej. Ale jakoś żaden z kandydatów nie zająknął się o tym ani słowem.

Rozpoczął się sezon kleszczowy. Koty służą kleszczom za taksówki, dowożąc je do ludzi – mówi lekarz weterynarii Jarosław Falkowski. Kleszcze przenoszą boreliozę. Ryzyko zakażenia tą chorobą po ukąszeniu przez kleszcza wynosi 5 proc. W około 1 proc. przypadków rozwija się forma przewlekła boreliozy – nieuleczalna i wyjątkowo uciążliwa w codziennym życiu. Kotom i kleszczom mówimy zatem: precz! Zwłaszcza że same na boreliozę nie chorują.

W Łukowie (tak, tym od kiełbasy) na sprzedaż trafiła mikrokawalerka o powierzchni 12 mkw. Nie ma łazienki, nie ma toalety, ale jest cena – 100 tys. zł, czyli 8,3 tys. zł za mkw. Chętnych brak, więc właściciel postanowił dać ludziom szansę zamieszkania w tym kurniku na próbę. Teraz można to coś wynająć za 650 zł miesięcznie. Zgodnie z polskimi przepisami kojec dla dużego psa (powyżej 66 cm w kłębie) musi mieć co najmniej 15 mkw. To dobrze, że ludzie mają wolność wyboru.

Sopot, ul. Bitwy pod Płowcami. Na ogrodzeniu jednego z kempingów pojawił się baner z kodem QR. Po jego zeskanowaniu użytkownik trafiał na stronę oferującą sprzedaż mefedronu. Marketingowy strzał w stopę. Pierwszymi, którzy zainteresowali się ofertą, byli funkcjonariusze Komendy Miejskiej Policji w Sopocie. Reklama została szybko zdjęta przez straż miejską, która – jak to straż miejska – zawsze chętnie dba o porządek. Zwłaszcza jeśli można przy okazji przyciszyć trochę wolność słowa i wyznania.

Rys. WIDGET

W Warszawie policja wzięła się za rowerzystów. Jak się okazuje, niektóre elektryczne rowery to wcale nie rowery, tylko motorowery. A wszystko przez silniki mocniejsze niż 250 W, które pozwalają rozpędzić się do ponad 25 km/h. A taki pojazd zgodnie z przepisami musi już mieć tablicę rejestracyjną, ubezpieczenie OC i obowiązkowy kask. Większość użytkowników takich maszyn o tym nie wie albo udaje, że nie wie. Popieramy akcję! Gdyby nie policja, ludzie kupowaliby sobie do domów elektryczne krzesła, twierdząc, że to przecież tylko meble. A przecież nie są to meble.

Polska jest krajem permanentnych kryzysów mieszkaniowych: przez lata 70., 80., potem 90. ubiegłego wieku budowlanka nie nadążała za rosnącym zapotrzebowaniem. Obecnie mamy kryzys nadprodukcji. GUS donosi, że w budowie są 844 tys. mieszkań, czyli więcej, niż kiedykolwiek postawiono rocznie w historii naszego państwa od początku jego istnienia. Kiedyś ci, których nie było stać na mieszkanie, czekali 30 lat. Dziś ci sami biedacy mogą wprowadzić się od razu pod warunkiem, że zadłużą się na 30 lat. Czy jest to rzeczywisty postęp?

Na ratunek polskim deweloperom przybyli obcokrajowcy, niczym rycerze na białych koniach (z walizkami pełnymi gotówki). W 2024 r. dokonali rekordowej liczby zakupów mieszkań: ponad 17 tys. w porównaniu do 14 tys. rok wcześniej. Ukraińcy, Białorusini, Rosjanie, Hindusi, Brytyjczycy i Wietnamczycy – wszyscy zapragnęli kawałka polskiej ziemi (a raczej mieszkania). Deweloperzy zacierają ręce, bo cudzoziemcy na ceny nie narzekają (podobno tanio). 95 proc. transakcji gotówką. Kto by tam ufał bankom, zwłaszcza szmuglując kapitał przez granicę?

Dobra wiadomość: sieć Lidl uruchomiła nowy system kaucyjny. Butelkomaty pojawiły się we wszystkich sklepach. Można do nich oddawać plastikowe butelki (do 3 litrów) oraz puszki (do 1 litra) – 5 groszy za sztukę. Podajemy tę informację nie z troski o ekologię. W czasach płynnej rzeczywistości, gdy ludzkość wciąż nie wynalazła skutecznej metody przechowywania wartości pieniądza, inwestycja w butelki zwrotne okazuje się najpewniejsza. W żadnym kraju, w którym wprowadzono system kaucyjny, opakowania wtórne nigdy nie staniały. Inwestujcie w puste PET-y. To bezpieczniejsze niż akcje, złoto i Manufaktura Wódki i Wina razem wzięte.

Pracownicy banku w Gdańsku wyłudzali kredyty od samych siebie. Banksterzy obiecywali pożyczki osobom, które nie miały szans na ich uzyskanie. Po „załatwieniu" kredytu wstrzymywali jego wypłatę, dopóki klient nie oddał im prowizji – sięgającej jednej trzeciej wartości kwoty pożyczonej. Funkcjonariusze Wydziału do Walki z Korupcją Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku zatrzymali siedem osób. Niestety, policja nie podała, o jaki bank chodzi. Dlatego profilaktycznie ostrzegamy: w Gdańsku działają: Alior, Millennium, Pekao SA, PKO, Bank Pocztowy, Paribas, BOŚ, Citi, Credit Agricole, ING, mBank, Nest, Santander, VeloBank, BPS, SKOK-i i Kasa Stefczyka. Każdy z nich, rzecz jasna, w tej sytuacji jest tak samo podejrzany.

Po raz kolejny na nasze łamy wraca fotoradar bandyta z Alej Jerozolimskich 239 w warszawskim Ursusie. Uruchomiony 14 listopada 2024 r., w ciągu czterech miesięcy oskubał kierowców na 2,5 mln zł, zanim został skutecznie unicestwiony. Niestety, w Głównym Inspektoracie Transportu Drogowego znalazł się jakiś techniczny mesjasz, który wskrzesił zamordowanego złoczyńcę. Fotoradar wrócił do życia. Ponownie został wysłany do tyranizowania matek wiozących dzieci do przedszkoli w godzinach szczytu. Na niewiele się to zdało. Po dwóch dniach nieludzkiej służby znalazła się karząca ręka ludu zmotoryzowanego, która wymierzyła fotoradarowi ostateczny cios – tym razem siekierą. Do trzech razy sztuka?

Ul. Marszałkowska w Warszawie, kiedyś reprezentacyjna, dziś jak Krupówki po zamknięciu sezonu. Plac Konstytucji, Plac Zbawiciela, dalej Plac Unii Lubelskiej – to miała być wizytówka stolicy. Elegancka oś spinająca śródmieście. Miała. Dziś ten fragment Warszawy reprezentuje raczej marazm niż metropolię. Mieszkańcy skarżą się, że żyją w slumsach. Centrum stolicy przypomina im zapomnianą Pragę z mrocznych czasów: wódki sprzedawanej spod lady, kartek na buty i spekulacji na zeszyt. Elewacje pokrywa tandetne graffiti, budynki są odrapane, w wielu przypadkach wołają o remont. Kto winny? Podobno nie prezydent miasta Trzaskowski, tylko burmistrz Śródmieścia. Ale tak naprawdę winna jest kuriozalna ustawa warszawska, której nikt nie rozumie – a już na pewno nie wiadomo, kto za co w Warszawie odpowiada.

Gdańscy stróże prawa zainwestowali w nową broń w walce z kurzem. Dwa roboty sprzątające za bagatela 152 tys. zł będą dbać o czystość Komendy Wojewódzkiej Policji. Powierzchnia do posprzątania – blisko 15 tys. mkw. – wymagała podobno zautomatyzowania procesu – tłumaczy rzeczniczka KWP kom. Karina Kamińska. Sceptycy kręcą nosami, twierdząc, że roboty te bardziej przypominają astmatyków niż terminatory czystości i nie są warte tak astronomicznej sumy. Nie nam jednak oceniać policyjne wydatki. Bardziej intryguje nas mistrz marketingu, który zdołał im to wcisnąć. Szacunek! To wyczyn godny medalu, a na pewno większy sukces niż kradzież radiowozu.

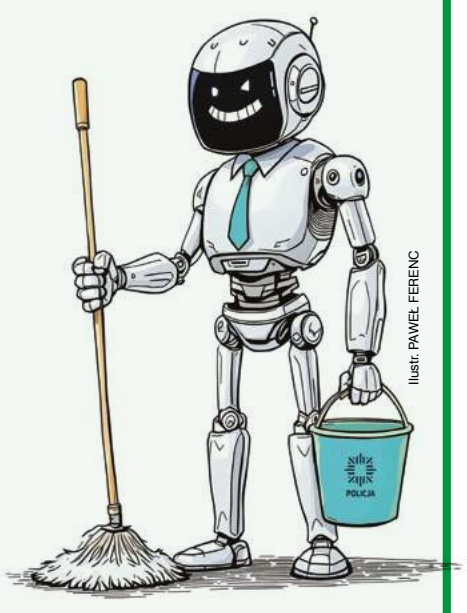

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Za ekologię się płaci, a w Zakopanem – słono. Tatrzański Park Narodowy w trosce o czyste powietrze (i za grube portfele) uruchomił pilotażowy program przewozów edukacyjnych elektrycznymi busami do Morskiego Oka. Finansuje to, a jakże, Ministerstwo Klimatu i Środowiska. Celem pilotażu jest sprawdzenie, jak działa nowe rozwiązanie, zebranie opinii pasażerów (pewnie głównie na temat ceny) i ewentualne korekty przed pełnym wdrożeniem. Cena tej „przyjemności"? Zależnie od dnia i okoliczności nawet 150 zł od osoby w obie strony. Ekologia niczym bat smaga po kieszeni.

Polska Grupa Zbrojeniowa ogłasza powrót do produkcji czołgów. Cud techniki? Amerykańskie Abramsy? Niemieckie Leopardy? Nie! Południowokoreański bubel składany w Gliwicach, przywieziony w częściach z fabryk oddalonych o 20 tys. km. Fracht morski pokonuje tę drogę w 40 dni. Kolejny triumf błaszczakowej myśli politycznej i technicznej. Zamiast obiecanego miliona elektrycznych aut dla ludu spadek po PiS-ie to miliony ton stali. W sam raz do masowej produkcji trumien. Oto prawdziwe oblicze Kaczyńskiego i jego ferajny: zamiast dobrobytu wojna. Brawo!

RJ

PS Powyższe rewelacje pochodzą z prasy regionalnej, gdzie prawda bywa elastyczna, zależnie od lokalnych uwarunkowań. Zalecamy więc ostrożność w wyciąganiu daleko idących wniosków i traktowanie tych informacji z przymrużeniem oka.

eprasa.pl 37a1455d59

Forsa i frustracja

Jak dać się oszukać

W minionym tygodniu, idąc Alejami Ujazdowskimi, zauważyłem grupę ludzi z biało-czerwonymi transparentami, którzy domagali się sprawiedliwości i „przebudzenia prokuratora”. Początkowo pomyślałem, że to klasa robotnicza z falstartem zaczęła pochód pierwszomajowy. Ale żaden z uczestników, najwyraźniej dotknięty jakąś wersją niesprawiedliwości, na robola nie wyglądał. Wręcz przeciwnie. No i stali akurat vis-à-vis Ministerstwa Sprawiedliwości, czyli jakby zapotrzebowanie spotkało się z ofertą.

Później z mediów dowiedziałem się, że ci spragnieni sprawiedliwości spotkali się z samym szefem polskiej Temidy, Bodnarem. A ten – zamiast, jak nakazywałaby szczerość, powiedzieć im „spadajcie, idioci, na drzewo” – oznajmił z całą dyplomacją i powagą, że państwo jest gotowe do współpracy.

Szybki zysk, szybka strata, szybka ucieczka

Chodzi o to, że 9 tys. ludzi miało zarobić, a nie zarobiło. Czują się więc oszukani. Cóż za wiarołomstwo! Gdzie były państwowe służby i prokuratura, kiedy inwestowali swoje pieniądze z nadzieją na łatwy zysk? Takie słowa zapewne na spotkaniu z ministrem nie padły, a może wreszcie powinny. Bo jeśli raz na dwa lata jakaś grupa, i to wcale niegłupich Polaków, czuje się wydymana przez innego rodaka, a straty liczone są w milionach, to może najwyższy czas, żeby coś z tym zrobić.

I tym razem było jak zwykle. Przebojowy biznesmen Marek Pióro założył firmę o nazwie Cinkciarz.pl (choć uczciwiej byłoby nazwać ją po prostu Złodziej.eu, bo to i tak nie zniechęciłoby tych ludzi, którzy marzą o łatwej kasie, do powierzenia swoich pieniędzy). Firma zajmowała się wymianą walut, ale w rzeczywistości oferowała również krótkoterminowe kontrakty spekulacyjne na różnicach kursowych. Początkowo wyglądało to na świetny interes – dla niektórych nawet nim był. Ale wszystko skończyło się znajomo: chciwcy nie dostali tego, czego oczekiwali. Teraz mamy płacz oraz zgrzytanie zębów. A pan Pióro? No cóż. Nadal nieobecny.

Jak stracić fortunę w Polsce?

W historii nowoczesnej Polski takie rzeczy dzieją się na bieżąco – i będą dziać się nadal. Po raz pierwszy od dekad pojawiła się bowiem grupa ludzi, którzy mają nadmiar forsy. Dorobili się w różny sposób – uczciwy lub nie – ale teraz nie bardzo wiedzą, co z tymi pieniędzmi zrobić w sensie konkretnym. Ogólnie zaś chcieliby mieć ich jeszcze więcej.

A ponieważ kapitalizm nieustannie przekonuje ich, że to możliwe – w każdym telewizorze, na każdym portalu – nie śmią w to wątpić. Wierzą, że się da. Chciwcy – z niezłomnym uporem robią naprawdę wiele, by w pocie czoła i nerwach pozbyć się tego, do czego doszli często drogą niemałych wyrzeczeń. Dzieje się to niejako na pięciu poziomach.

WIG wam w dupę

Najmądrzejsi z nich inwestują na Giełdzie Papierów Wartościowych, bo według ich wiedzy wszystko tam jest pod kontrolą, nadzorem i zgodne z zasadami. Dziś się akcje kupi, jutro się sprzeda – i jest zysk opodatkowany przez Belkę. A jeśli stracą? Spokojnie – ich makler zawsze ma gotową formułkę: byli źle zdywersyfikowani, niewyedukowani albo działali pod wpływem emocji.

To brzmi jak wstęp do książki o finansach dla bystrzaków z metropolii napisanej przez kogoś, kto sam nigdy nie zainwestował ani grosza na giełdzie, ale zajebiście dobrze zarabia na jej opisywaniu. Przykład? Choćby Wydawnictwo Milion Kroków, które serwuje czytelnikom całą wannę frazesów i napuszonego bełkotu w stylu: „Inteligentny inwestor”, „Początkujący inwestor”, „Inwestor fundamentalny”.

Prawda jest jednak inna: gdyby wszyscy indywidualni inwestorzy byli idealnie wyedukowani, mieli portfele jak BlackRock (największa na świecie firma zarządzająca aktywami, ponad 10 bln dol.) i emocje jak algorytm, to nikt na giełdzie by nie zarabiał. Zapewne niektórzy to rozumieją. Większość – nie.

A ta ich „mądrość” inwestorska okazuje się też balastem. Przykład? WIG spadł o 17 proc. (tak, procent, nie punktów) w ciągu miesiąca – fakt, to był rok 2020. Inwestor wyszedł z tego z gołą dupą, ale przecież nie pójdzie na skargę do ministra sprawiedliwości czy finansów, że go oszukali. To byłoby po prostu śmieszne.

A jednak – wbrew tej uciążliwości – to właśnie owi giełdowi poszkodowani są jeszcze tymi najszczęśliwszymi. Ich gehenna kończy się w momencie, gdy rachunek inwestycyjny pokazuje zero. No chyba że zdążyli się wcześniej zapożyczyć – na przykład w PKO jednym lub drugim. Wtedy rzeczywiście mają przejebane.

Oskubani przez autorytety

Drugą grupę chciwców stanowią ci nieco mniej bystrzy niż inwestorzy giełdowi, ale nadal uważający się za całkiem mądrych. Dla nich giełda to zbyt skomplikowany mechanizm ponoszenia strat, wolą więc quasi-inwestycje – przedsięwzięcia podbudowane jakimś autorytetem. Przypomnę choćby Grobelnego, który przed kamerami rozkładał na łopatki samego ministra Balcerowicza. Był też Palikot – niegdyś kandydat na prezydenta. A dziś pan Pióro, lansowany niedawno przez prasę łososiową i tę z członem „business” jako mistrz świata w wieloboju finansowych złudzeń.

Rys. TOMASZ WIATER

Tu chciwcy nie inwestują – oni „przelewają pieniądze”. Kupują „coś”, a w rzeczywistości oddają kasę na konta, nad którymi nie mają żadnej kontroli. Potem płaczą.

Ich sytuacja jest najgorsza, bo nie tylko nie odzyskają pieniędzy, ale latami żyją w złudzeniu, że to jednak możliwe. Dlaczego? Bo prokuratura im to złudzenie podtrzymuje. Śledztwo w sprawie Afery GetBack (10 tys. oszukanych z wynikiem minus 2,5 mld zł) toczy się już siedem lat – i nic.

Problem z takimi Palikotami czy Piórami polega na tym, że to, co robili, było legalne. A przynajmniej – nie nielegalne.

I tak naprawdę prokuratorzy próbują dopasować fakty do kodeksu karnego, choć te fakty do niczego nie pasują. To jak dopasowywanie głowy do kapelusza metodą łomu.

Poszkodowani przez takie ładnie wyglądające manufaktury cierpią najbardziej. Są na tyle ogarnięci, by chodzić do urzędów, ministerstw, komisji. Z racji zapachu perfum i metek na koszulkach są nawet wysłuchiwani. Ale krzywdę – rzekomą, bo nie widzą w niej swojej winy – noszą czasem do końca życia.

Do bankructwa w trzech kliknięciach

Trzeci garnitur chciwców to zwyczajni głupcy, którzy wierzą, że da się zarobić więcej, szybciej i łatwiej, ale już niekoniecznie przejrzyście. Wchodzą więc w różnego rodzaju „inwestycje alternatywne”: kryptowaluty, fundusze obiecujące 15 proc. miesięcznie, obligacje egzotycznych spółek bez kapitału albo piramidy finansowe z eleganckim logo i sloganem o wolności finansowej. Nie czytają raportów, nie śledzą wskaźników. Oni klikają w reklamy na Facebooku i ufają, że skoro strona jest ładna, to firma też musi być uczciwa i nie myślą w niej o niczym innym, jak o tym, aby pomnażać cudzą gotówkę.

Ci żenujący idioci mają pełne zaufanie do nowoczesnych technologii, do youtube’owych „ekspertów od dochodu pasywnego”, do webinarów i do chłopaków w garniakach z TikToka, którzy pokazują screeny z kont. Po stracie pieniędzy najczęściej krzyczą o oszustwie, aferze i braku reakcji państwa, choć sami nie byli w stanie przeczytać choćby jednego warunku umowy.

Złota żyła w garażu

Czwarta drużyna chciwców to już nie inwestorzy ani „alternatywni gracze”. To zwykli ludzie, którzy nie wiedzą, że są chciwcami, dopóki ktoś nie pokaże im, że „wszyscy tak robią” i „to przecież pewne jak w banku”. Naturalnie zrodzeni ignoranci, którzy nawet nie wiedzą, czego nie wiedzą. Oni nie śledzą giełdy, nie chodzą na prezentacje, nie czytają umów. Ich kontakt z finansami kończy się na koncie osobistym i nadziei, że może w końcu się coś uda.

To właśnie im przedstawia się inwestycję w złoto bez złota, mieszkanie bez mieszkania albo obligacje spółki, która mieści się w garażu pod Krakowem. To oni wchodzą w systemy, w których „nie trzeba nic robić, tylko polecać” – i nie wiedzą, że to po prostu inna nazwa dla klasycznej piramidy.

Na spotkaniach motywacyjnych biją brawo, kiedy prowadzący mówi: „Polacy są za mało odważni”. Z entuzjazmem wrzucają swoje oszczędności życia w obietnicę 10 proc. miesięcznie. Potem – jak przychodzi krach – nie mają już ani pieniędzy, ani nawet złudzeń. Ale na szczęście nie idą do mediów ani do sądu. Oni się po prostu wstydzą. Dali się zrobić jak dzieci (bo tak naprawdę byli przedszkolem) i woleliby o tym nigdy nie mówić. Ich cierpienie jest ciche, niemal intymne. Żadnych pism do ministra, żadnych skarg. Tylko milczenie – i może czasem wódka na działce z sąsiadem, który też się dał nabrać.

Jak uczciwie stracić pieniądze

No i w końcu mamy najsympatyczniejszą grupę: inwestorów, którzy słusznie uważają, że całe to inwestowanie to zwyczajnie zawoalowany hazard. Więc – skoro tak – po co udawać? Pozbywają się hipokryzji. Chodzą do kasyn, grają na pokerowych portalach, kupują losy na loterię. Wiedzą, że tu wszystko jest jasne: albo wóz, albo przewóz.

Choć ta forma inwestowania ma najmniejsze społeczne przyzwolenie, wydaje się jednak najbardziej uczciwa. Przynajmniej nikt nie ściemnia, że „zdywersyfikowany portfel” coś tu gwarantuje.

I wbrew pozorom to wcale nie margines społeczny – sądząc po kapitale, jakim obracają firmy hazardowe. Największe instytucje finansowe (zaraz po bankach i superubezpieczycielach) w Europie to właśnie te, które zbudowano na przegranych drobnych graczy. Że wspomnę Flutter Entertainment (Irlandia) kapitalizacja 43,9 mld dol. (maj 2025 r. – trochę więcej niż budżet Boliwii i dwa razy więcej niż Łotwy); Entain plc (Wielka Brytania) kapitalizacja 5,71 mld dol. albo Kindred Group (Szwecja) 2,48 mld dol.

Od potrzeby do obsesji, od przetrwania do paranoi

To dowodzi, że żyjemy w błędzie co do prawdziwej natury pieniądza. Nasz stosunek do niego można podzielić na trzy zasadnicze typy.

Ci, którzy pieniędzy nie mają, myślą o przetrwaniu. Brak gotówki kojarzą z realnym zagrożeniem dla egzystencji. To mylne, choć zrozumiałe spostrzeżenie. Ale brak pieniędzy to nie rak ani wylew, choć często traktujemy go równie dramatycznie.

Ci, którzy mają pieniędzy trochę i koncentrują się na bezpieczeństwie. Czują się zagrożeni, więc pieniądz traktują jak tarczę. To również złudzenie. Pieniądze nie gwarantują bezpieczeństwa, są jedynie efektem stabilnej sytuacji, na przykład zawodowej, a nie jej przyczyną.

I wreszcie są ci, którzy pieniędzy mają w nadmiarze, zatem zaczynają myśleć o nieśmiertelności. Inwestowanie, pomnażanie, perpetuum mobile kapitału – najlepiej aż po kres życia i jeszcze dalej. Tu zaczynają się prawdziwe problemy.

Ludzie z nadpłynnością gotówki – na szczęście nieliczni – często nie wiedzą, czego naprawdę chcą. Pieniądz, zamiast być narzędziem, staje się ciężarem.

Rodzi lęk: „Czy wykorzystuję go właściwie?”, „Czy ktoś mnie nie oszuka?”, „Czy nie mógłbym zrobić z nim czegoś lepszego?”. W nadmiarze pieniądz przestaje być wartością – staje się strachem przed jej utratą. Paradoksalnie: im więcej masz pieniędzy, tym większy masz z nimi problem. Bo nie wiesz już, czy to, co robisz, ma sens, czy tylko wygląda na sensowne. Co gorsze, pieniądz zmusza do działania i nagradza za ruch, nie za refleksję. I to właśnie jest pułapka chciwców.

Od chciwości do mądrości

Prawdziwa siła pieniędzy nie polega bowiem na tym, by grać coraz ostrzej. Polega na możliwości odmowy udziału w grze. Pieniądze powinny dawać spokój, a nie generować nowy zestaw lęków.

Zatem jeśli macie więcej pieniędzy, niż potrzebujecie, to naturalnie pojawia się pytanie: w co inwestować? Tylko że to pytanie jest błędne. Nie inwestować, tylko alokować, a najważniejsze brzmi: gdzie moje pieniądze mogą zrobić najwięcej dobra – dla mnie, dla innych, dla świata? Jak wesprzeć to, co uważasz za słuszne? Jak zamienić pieniądze w sens, a nie w tylko więcej pieniędzy? Nie mnóż kapitału! Przekształcaj go w znaczenie!

W tym momencie pewnie usłyszę, że jestem naiwnym pięknoduchem, oderwanym idealistą. Że „w praktyce nikt tak nie robi”. Hmm, rzeczywiście? Spójrzmy zatem na tych, co robili „praktycznie”: pragmatycy od Cinkciarza, Palikota, Amber Gold – dziś płaczliwi klienci prokuratury i ministra sprawiedliwości, którzy uzyskali stopę zwrotu minus baaardzo wiele procent.

Czym się kierowali, jeśli nie właśnie odwrotnością tego, co proponuję? Ich myślenie było proste: wymienić funty na dolary, dolary na rupie, potem to wrzucić w obligacje jakiegoś postkolonialnego raju i zarobić, nie robiąc nic. Pogoń za zyskiem nieuzasadnionym, bezsensownym, a w gruncie rzeczy – nieuczciwym. To się zawsze kończy tak samo. Lista ofiar tej logiki jest dłuższa niż książka telefoniczna i pełna całkiem zacnych nazwisk.

Chcecie przetrwać w świecie finansów? Nie szukajcie zysku. Szukajcie sensu.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl 37a1455d59

Święta mizoginia

W spadku po zmarłym papieżu został ocean hipokryzji.

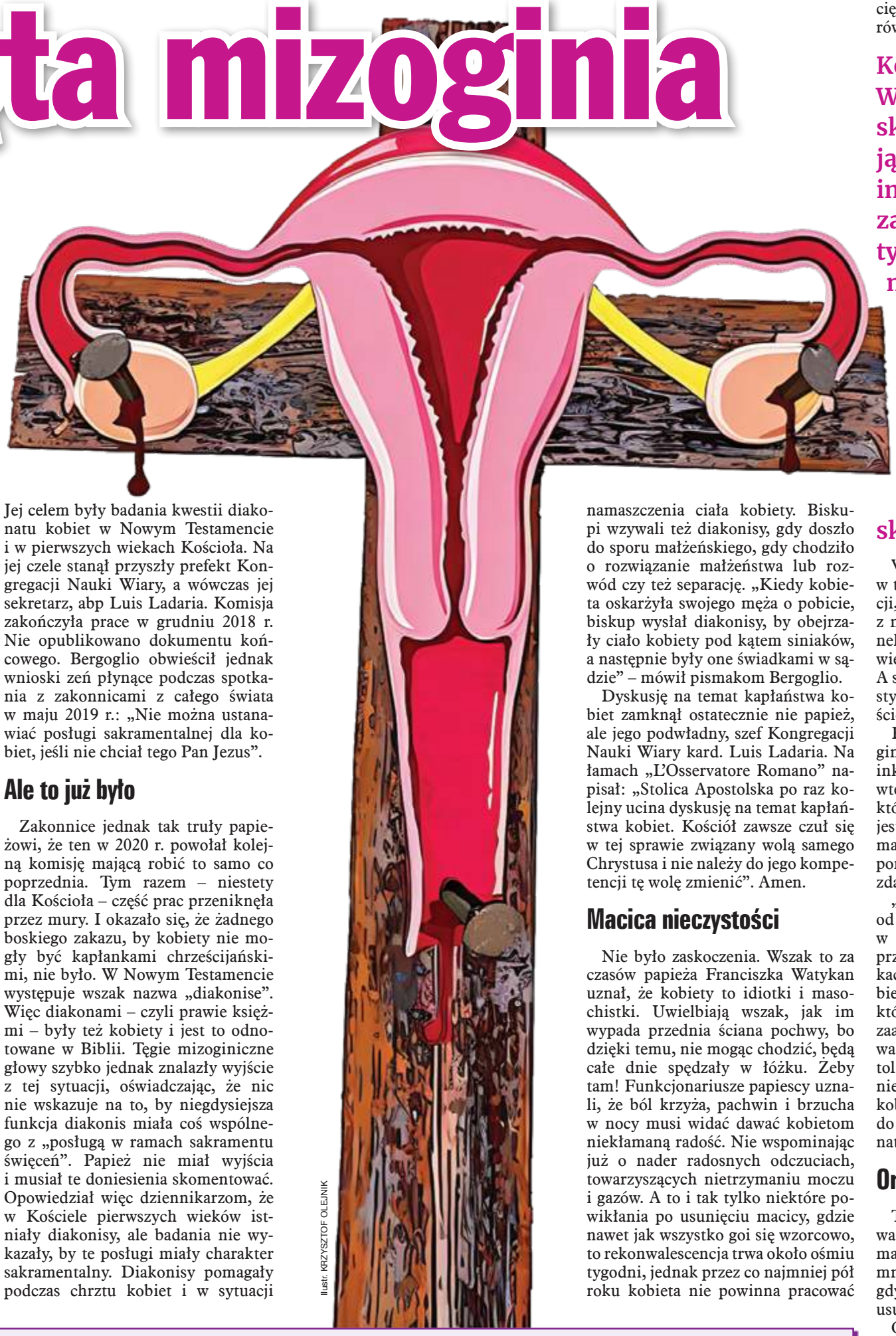

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Gdy Bergoglio wyzionął ducha, w telewizjach zarówno Magdalena Biejat, jak i Katarzyna Kotula nie omieszkały powiedzieć o pontyfikacie zmarłego wielu nader pozytywnych słów. Obie panie wykazały się przy tym grzechem ignorancji.

Nieboszczyk pozostawił bowiem następcy sprawę kobiet w Kościele w stanie nieskalanym odejściem od trawiącej tę instytucję od stuleci cnoty mizoginii. Przyprawionej – rzecz jasna – typową dla argentyńskiej głowy Kościoła hipokryzją.

Kobieta brzmi dumnie

Bo przecież papież non stop przypominał o „niepowtarzalnej roli kobiety w Kościele". „Kobieta bardziej przypomina Kościół, który jest matką i oblubienicą" – mówił mediom, gdy był pytany o żeńską połowę wyznawców katolicyzmu.

W 2015 r. zapytany o kwestię kapłaństwa kobiet podczas rozmowy z dziennikarzami w samolocie, gdy wracał z USA, odpowiedział: „Tego nie można zrobić. Papież św. Jan Paweł II w czasie dyskusji, po bardzo długiej refleksji powiedział to wyraźnie".

W kolejnych latach udowadniał, że w tej sprawie jego nieomylny osąd ani drgnął. Podczas innego spotkania z mediami sam sobie zadał pytanie, by na nie odpowiedzieć: „Dlaczego kobieta nie może zostać wyświęcona? Ponieważ w »zasadzie Piotrowej« nie ma na to miejsca".

Oczywiście był to teologiczny kit. Bergoglio przekonał się o tym, gdy dla zamydlenia oczu kobiet lgnących do księżych posad, czyli Zgromadzenia Plenarnego Przełożonych Generalnych Zakonów Żeńskich w 2016 r. ustanowił komisję ds. diakonatu kobiet. Jej celem były badania kwestii diakonatu kobiet w Nowym Testamencie i w pierwszych wiekach Kościoła. Na jej czele stanął przyszły prefekt Kongregacji Nauki Wiary, a wówczas jej sekretarz, abp Luis Ladaria. Komisja zakończyła prace w grudniu 2018 r. Nie opublikowano dokumentu końcowego. Bergoglio obwieścił jednak wnioski zeń płynące podczas spotkania z zakonnicami z całego świata w maju 2019 r.: „Nie można ustanawiać posługi sakramentalnej dla kobiet, jeśli nie chciał tego Pan Jezus".

Ale to już było

Zakonnice jednak tak truły papieżowi, że ten w 2020 r. powołał kolejną komisję mającą robić to samo co poprzednia. Tym razem – niestety dla Kościoła – część prac przeniknęła przez mury. I okazało się, że żadnego boskiego zakazu, by kobiety nie mogły być kapłankami chrześcijańskimi, nie było. W Nowym Testamencie występuje wszak nazwa „diakonise". Więc diakonami – czyli prawie księżmi – były też kobiety i jest to odnotowane w Biblii. Tęgie mizoginiczne głowy szybko jednak znalazły wyjście z tej sytuacji, oświadczając, że nic nie wskazuje na to, by niegdysiejsza funkcja diakonis miała coś wspólnego z „posługą w ramach sakramentu święceń". Papież nie miał wyjścia i musiał te doniesienia skomentować. Opowiedział więc dziennikarzom, że w Kościele pierwszych wieków istniały diakonisy, ale badania nie wykazały, by te posługi miały charakter sakramentalny. Diakonisy pomagały podczas chrztu kobiet i w sytuacji namaszczenia ciała kobiety. Biskupi wzywali też diakonisy, gdy doszło do sporu małżeńskiego, gdy chodziło o rozwiązanie małżeństwa lub rozwód czy też separację. „Kiedy kobieta oskarżyła swojego męża o pobicie, biskup wysłał diakonisy, by obejrzały ciało kobiety pod kątem siniaków, a następnie były one świadkami w sądzie" – mówił pismakom Bergoglio.

Dyskusję na temat kapłaństwa kobiet zamknął ostatecznie nie papież, ale jego podwładny, szef Kongregacji Nauki Wiary kard. Luis Ladaria. Na łamach „L'Osservatore Romano" napisał: „Stolica Apostolska po raz kolejny ucina dyskusję na temat kapłaństwa kobiet. Kościół zawsze czuł się w tej sprawie związany wolą samego Chrystusa i nie należy do jego kompetencji tę wolę zmienić". Amen.

Macica nieczystości

Nie było zaskoczenia. Wszak to za czasów papieża Franciszka Watykan uznał, że kobiety to idiotki i masochistki. Uwielbiają wszak, jak im wypada przednia ściana pochwy, bo dzięki temu, nie mogąc chodzić, będą całe dnie spędzały w łóżku. Żeby tam! Funkcjonariusze papiescy uznali, że ból krzyża, pachwin i brzucha w nocy musi widać dawać kobietom niekłamaną radość. Nie wspominając już o nader radosnych odczuciach, towarzyszących nietrzymaniu moczu i gazów. A to i tak tylko niektóre powikłania po usunięciu macicy, gdzie nawet jak wszystko goi się wzorcowo, to rekonwalescencja trwa około ośmiu tygodni, jednak przez co najmniej pół roku kobieta nie powinna pracować ciężko fizycznie, a nawet nosić ciężarów większych niż 5 kg. Bo otóż

Kongregacja Nauki Wiary doszła do wniosku, że kobiety usuwają sobie macice, bo się im w ciążę nie chce zachodzić. Zaś w Watykanie niezachodzenie w ciążę jest grzechem. Stąd prosty wniosek, że skoro kobiety mogą usuwać macice, co uczyni je odpornymi na plemniki, to na pewno grzeszą na skalę masową.

Watykańskich geniuszy upewniło w tym wygooglowanie sobie informacji, że usuwanie macicy jest jednym z najpowszechniejszych zabiegów ginekologicznych. Wykonuje się je bowiem u 300 na każde 100 tys. kobiet. A skoro tak, to drogą dedukcji scholastycznej inkwizytorzy uznali, że Kościół katolicki ma problem.

Księża wzięli na spytki katolickich ginekologów. Ci zaś zaczęli tłumaczyć inkwizytorom, że usuwa się macicę wtedy, gdy znajduje się ona w stanie, który powoduje, że prokreacja i tak jest niemożliwa. Bo nawet jak się taką macicę zapłodni, to albo dojdzie do poronienia, albo matka umrze, zanim zdąży urodzić.

„Aha" – skonstatowali duchowni od obrony wiary. I wysmarowali kwit, w którym uznali, że tak „krańcowe przypadki" wymagają innej kwalifikacji niż uznanie ich za grzech. Pobiegli z tym odkryciem do papieża, który pochylił się nad zagadnieniem, zaaprobował treść i polecił opublikować, że „z punktu widzenia wiary katolickiej usunięcie macicy jest moralnie dopuszczalne, gdy narządy rodne kobiety nie są w stanie chronić płodu do chwili porodu, czyli pełnić swojej naturalnej funkcji prokreacyjnej".

Organ o religijnej wartości

Tyle że grzeszna histerektomia była watykańskim wymysłem. Żadna normalna kobieta nie przeżywała najmniejszej nawet religijnej rozterki, gdy usłyszała medyczne wskazanie do usunięcia macicy.

Ginekolodzy z wieloletnią praktyką, gdy po usłyszeniu o watykańskich rozterkach skończyli się śmiać, twierdzili, że choć wysłali na operację usunięcia macicy dziesiątki, jeśli nie setki pacjentek, to nigdy nie spotkali się z ich strony z jakąkolwiek obiekcją natury religijnej. Owszem, szlag je trafiał z tego powodu, że polegnie ich kobiecość. I to mimo, że wiele z nich było w wieku poprokreacyjnym albo nie zamierzało już mieć dziecka. Utrata macicy była dla nich czymś, co porównać można tylko z nieodwracalną utratą piersi. A do tego wszystkiego dochodził jeszcze strach związany z ewentualnymi powikłaniami po operacji.

Żaden z medyków nigdy też nie zetknął się z pacjentką, która sama z siebie poprosiłaby o skierowanie na histerektomię z powodów antykoncepcyjnych. Kobiety bowiem – w przeciwieństwie do watykańskich księży – nie są głupie i wiedzą, że sposobów na trwałe ubezpłodnienie jest więcej i to znacznie mniej bolesnych i inwazyjnych.

Lekarze powiedzieli też, że mocno katolickie niewiasty po tym, jak w kościele dowiedzą się, że posiadanie macicy ma wartość religijną, to mimo wskazań medycznych na operację usunięcia macicy nie pójdą. Kobiety będą cierpieć i umierać, bo ktoś we franciszkowym mizoginistycznym Watykanie coś sobie ubzdurał. Ale tego niechodzące do kościoła Biejat i Kotula akurat wiedzieć nie musiały.

TOMASZ BOROWIECKI

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Maciej Świrski, szef Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, nałożył karę w wysokości ponad 100 tys. zł na wydawcę „Super Expressu" za program, w którym prowadzący robili sobie jaja z tego, że Karol Nawrocki dostał w prezencie obraz z Matką Boską. Przypomnijmy: Nawrocki otrzymał artefakt z wizerunkiem najświętszej panienki podczas wizyty w Pajęcznie w połowie marca. Skomentowano to w programie „Nocna zmiana" emitowanym na youtubowym kanale „Super Expressu". Prowadzący, dusząc się ze śmiechu, zasugerowali, że obraz miał być z autografem, oraz snuli domysły, czy dzieciątko odbiło na nim stópkę. Według KRRiT podśmiechujki miały urazić uczucia religijne Polaków. Cóż, a my wciąż nietykalni.

Rys. WIDGET

✚ 30 kwietnia Prokuratura Rejonowa w Łomży (woj. podlaskie) skierowała do sądu akt oskarżenia przeciwko proboszczowi lokalnej parafii Bożego Ciała dotyczący przestępstwa przeciwko wolności seksualnej i obyczajności wobec osoby dorosłej. Ze względu na charakter sprawy i dobro pokrzywdzonego śledczy nie podali więcej szczegółów. Wiadomo jedynie, że zdarzenie miało miejsce w październiku 2024 r., a zawiadomienie złożyła ofiara. Wobec duchownego zastosowano tzw. wolnościowe środki zapobiegawcze, w tym poręczenie majątkowe oraz zakaz kontaktów z poszkodowanym oraz jego bliskimi. Klecha nie przyznaje się do zarzucanych mu czynów, złożył wniosek o badanie wariografem i domaga się jawności procesu.

✚ Ojciec Tomasz Maniura, duszpasterz młodzieży oraz wieloletni organizator wypraw rowerowych NINIWA Team i Festiwalu Życia w Kokotku, ogłosił, że definitywnie kończy działalność duszpasterską. Powodem decyzji ma być zgłoszenie przełożonym duchownego przez osobę dorosłą krzywdy doznanej za sprawą złamanego przez o. Maniurę szóstego przykazania Dekalogu. Ojciec Tomasz wyraził żal i zadeklarował gotowość do pełnej współpracy z przełożonym w celu „uzdrowienia bolesnej sytuacji".

✚ Znany z licznych alkoholowych wybryków ksiądz Tomasz K. z Rzejowic (woj. łódzkie) w końcu się doigrał. W ostatnią niedzielę kwietnia duchowny został odwołany przez Watykan w trybie natychmiastowym z funkcji proboszcza. Utrącenie klechy ze stołka to efekt kościelnego postępowania w sprawie molestowania przez Tomasza K. nastoletniej parafianki sprzed lat. W pierwszej instancji ksiądz został uznany za winnego i nałożono na niego karę. Duchownemu przysługiwało jednak odwołanie od tej decyzji i z tej możliwości skorzystał. Stolica Apostolska odrzuciła odwołanie patusa w koloratce, w związku z czym jego wyrok się uprawomocnił. Serdecznie gratulujemy.

Rys. WIDGET

✚ 54-letni ksiądz z diecezji sosnowieckiej został zatrzymany we wtorek 29 kwietnia przez policję pod zarzutem popełnienia przestępstw na szkodę dzieci. Jest to były proboszcz jednej z parafii w Małopolsce. Do zarzucanych mu czynów miało dojść w 2024 r. Jeden z zarzutów dotyczy przestępstwa seksualnego, drugi z nich jest powiązany z pierwszym czasowo i sytuacyjnie i obejmuje „fizyczne oddziaływanie na osobę małoletnią wbrew jej woli". Kapłan jest czwartą osobą, którą ujęto w ramach śledztwa prowadzonego przez Prokuraturę Okręgową w Sosnowcu. Duchownemu grozi kara nawet dożywotniego pozbawienia wolności.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

eprasa.pl 37a1455d59

Dymy w Watykanie

Kardynalskie problemy z elekcją

W języku internetowym „dymy” to awantury i inne emocjonujące akcje występujące na patostreamach. W patologicznym środowisku watykańskim w oczekiwaniu na biały dym z komina Kaplicy Sykstyńskiej też dają się zauważyć dymy wśród purpuratów. Walka o stolec Piotrowy ruszyła pełną parą jeszcze przed konklawe, a część kardynałów daje do zrozumienia, że linia Franciszka nie będzie kontynuowana. Oficjalna wersja jest taka, że spuścizna Franciszka zostanie zachowana – tak jest za każdym razem. Choć kolejne pontyfikaty nieraz wywracały Kościół do góry nogami, to wersja dla ludu jest taka, że wszystko zostało po staremu, nauka kościelna jest niezmienna, a kler trwa wiernie przy Chrystusie i Ewangelii. Ciemny lud to kupuje.

Rys. TOMASZ WIATER

Złote i nieskromne

Zwiastuny nadchodzących zmian dały się zauważyć zaraz po śmierci Franciszka. Bergoglio zrezygnował z wielu zewnętrznych oznak władzy i prestiżu papieskiego, dążył do prostoty w strojach i zachowaniu, ograniczał rytuały. Siłą rzeczy ten styl musieli przyjąć inni dostojnicy kościelni, przynajmniej ci liczący na awanse, czyli wszyscy w wieku przedemerytalnym. Gdy nastały czasy Franciszka, hitem wśród biskupów był wzorowany na papieskim pektorał – krzyż noszony na piersi, umieszczony w większej wersji także nad jego grobem. Na tle biżuterii hierarchów Kościoła kat. wyróżniał się skromnością – zwykły srebrny krzyżyk z charakterystycznym motywem Jezusa jako pasterza. W porównaniu do złotych pektorałów wysadzanych kamieniami szlachetnymi, w których lubują się purpuraci, franciszkowy to bieda. Podobnie z pastorałami – laskami używanymi przez biskupów w czasie liturgii. Franciszek bywał widywany z drewnianymi, więc inni w ślad za nim też sprawili sobie drewniane zamiast „złotych a skromnych”.

Ale nie ma już Franciszka i te zwyczaje się skończyły. Gdy jego ciało wystawiono w trumnie w Domu św. Marty, gdzie za życia mieszkał, niektórzy kardynałowie jakby demonstracyjnie przyszli odwaleni jak stróż w Boże Ciało. 12 lat ich wypasione fatałaszki czekały w szafie, by znowu olśnić swym blaskiem jak na rewii drag queen. Gdy Jorge Bergoglio został wybrany w marcu 2013 r., jeszcze przed wyjściem na balkon do ludzi miał powiedzieć do księdza towarzyszącego mu w tzw. pokoju łez (przebieralni dla nowego papieża): „karnawał się skończył”. Po jego zgonie karnawał znowu się zaczął. Podczas obrzędów w bazylice św. Piotra kard. Kevin Farrel, zarządzający Watykanem w czasie bezkrólewia, miał na sobie szaty, których używał Benedykt XVI słynący z zamiłowania do klerykalnego przepychu. Gdyby Franciszek ożył i to zobaczył, to znowu by zszedł. Farrel to członek Legionistów Chrystusa, zgromadzenia założonego przez niesławnej pamięci drapieżcę seksualnego i aferzystę Marciala Maciela. Podobnie jak jego brat, abepe Brian Farrel, również wysoki urzędnik Kurii Rzymskiej. W Kościele wszyscy są braćmi, ale bracia Farrel bardziej.

Kandydat obywatelski

Takich jak Farrel jest w gronie kardynałów więcej, w tym także tacy, których do tego grona powołał Franciszek. Podstawowa zasada w Kościele to płynąć z nurtem. Nawet papież nie ma rentgena prześwietlającego poglądy podwładnych. Zatem mimo że ok. 80 proc. elektorów to nominaci Franciszka, wcale nie muszą oni głosować tak, jak on by sobie życzył. Bergoglio doceniał ludzi z peryferiów, czyli pracujących z dala od wielkich bogatych ośrodków. Nie gwarantuje to jednak, że ci ludzie, np. z Afryki czy Ameryki Południowej, mają takie jak on poglądy. W końcu ostatecznie są to księża, więc kariera jest dla nich ponad takimi głupotami jak idee. Część z nich przeczekała Franciszka i teraz wyjdzie ze swoimi przekonaniami w całej okazałości, demonstrując je w głosowaniu na konklawe.

Choć podstawową zasadą konklawe jest dyskrecja, kardynałowie – unikając wszakże personaliów – chętnie opowiadają, kogo widzieliby w białej sutannie. Nie milczą także ci, którzy utracili już prawo do głosowania, np. 94-letni kard. Camillo Ruini, niegdyś bliski współpracownik Wojtyły. W wywiadzie dla włoskiego dziennika „Corriere della Sera” stwierdził stanowczo: „musimy zwrócić Kościół katolikom!”, krytykując tym otwartą postawę zmarłego niedawno papieża, który „uprzywilejował dalekich kosztem bliskich”. W podobnym duchu odzywa się kard. Gerhard Ludwig Müller, jeden z głównych teologicznych oponentów Franciszka, darzący go osobistą antypatią. Ten niemiecki purpurat poucza, że „głównym zadaniem kardynałów na konklawe nie jest wybór człowieka, który głosiłby idee własne albo swojego poprzednika, ale przyszłego następcy św. Piotra, widzialnej i nieustannej zasady i podstawy jedności Kościoła”. Müller został przez Franciszka potraktowany z buta, gdy ten w lipcu 2017 r. zakomunikował mu, że właśnie przestaje być szefem Kongregacji Nauki Wiary stojącej na straży ortodoksji.

Od tej pory kardynał Müller jest młodym emerytem bez zajęcia. Jest za to mile widziany w Polsce – bywał w Collegium Humanum i u Rydzyka, udzielił ślubu córce Czarnka.

Jego sekretarzem jest ksiądz z diecezji łomżyńskiej, tej samej, do której z Watykanu został zesłany abepe Juliusz Paetz. Müller jest zdeklarowanym wrogiem gejów i przyjacielem Polski. Przed konklawe udzielił wywiadu przedstawicielowi prawicowego wydawnictwa Biały Kruk, w którym mówił, że w Polsce księża są prześladowani jak w czasach PRL i on musi tę sytuację przedstawić swoim kolegom z całego świata, bo to, co się tu wyrabia, woła o pomstę do nieba. Zatem i PiS wystawił swojego obywatelskiego kandydata w konklawe. Ale żeby Niemca?!

A może papieżyca?

Polska prawica ma też innego faworyta w tych wyborach, kard. Roberta Saraha z Gwinei. Konserwa dodatkowo podniecona jest tym, że ich idol jest czarnoskóry, więc nikt im nie może zarzucić rasizmu. W przypadku afrykańskich hierarchów konserwatywne poglądy to nic nadzwyczajnego, ale Sarah i tak ma nikłe szanse, bo zachował się nielojalnie wobec poprzedniego papieża, a tego mafia nie wybacza. Można podkopywać, knuć i spiskować, ale otwarcie występować przeciwko szefowi – nie. Swój akces do udziału w konklawe zgłosił też Donald Trump, wrzucając na swój profil w mediach społecznościowych wygenerowane przez AI zdjęcie w szatach papieskich. Biały Dom i biały dym różni wszak tylko jedna literka. Tym razem jakoś polscy katolicy nie gardłowali o obrazie uczuć religijnych. My zatem możemy wystawić Joannę Senyszyn, papieżycę internetu. Historia Kościoła zna już wszak jedną papież Joannę, a prof. Senyszyn papieskie pozdrowienie ma już obcykane.

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

Krakowska musztra

Jędraszewskiemu rośnie konkurencja na własnym podwórku

Sieć obiegł filmik z biskupem w roli głównej, ukazujący „pasterza” w rozmiarze 3XL dworującego niewybrednie z proboszcza parafii, do której pojechał bierzmować młodzież. Bierzmowanie definiuje się w kręgach klerykalnych jako uroczyste pożegnanie z Kościołem z udziałem biskupa. To wydanie udzielenia sakramentu dojrzałości chrześcijańskiej zapadnie w pamięci nie tylko parafianom w Skawinie, ale i samemu biskupowi, który dzięki niemu stał się memem.

Proboszcz z za długim...

Popularny filmik, przekazywany ze smartfona na smartfon, z rozbawieniem i oburzeniem dokumentuje końcówkę uroczystości, kiedy to ekscelencja w ramach podziękowań zwraca się do plebana: – Ja ci chcę powiedzieć, że szału nie było z tą wypowiedzią, bo za długo było, ale zaliczone, prawda? – pyta na końcu publiczność jak rasowy standuper. Będący w ewidentnie dobrym humorze biskup dialoguje rubasznie ze zdezorientowaną młodzieżą i docina speszonemu księdzu. Zapowiada, że po błogosławieństwie pójdzie się rozebrać i wyjdzie do wspólnego zdjęcia, a po pytaniu proboszcza, czy on też może stanąć do fotki, odpowiada: – Tak, pod warunkiem że z boku ksiądz stanie, bo będzie łatwiej wyciąć.

Robienie z tego thrillera klerykalnego to lekka przesada, bo nie wygląda na to, że biskup to jakiś psychopata. Po prostu ma ciężkie poczucie humoru, co się wśród kleru – zwłaszcza starszego pokolenia i na wyższych stanowiskach – zdarza. Jeśli dodać, że biskup ma na imię Janusz, to trochę dopełnia obraz. Uwieczniony w tych kadrach hierarcha to bowiem biskup pomocniczy archidiecezji krakowskiej Janusz Mastalski. Jeden z najbliższych współpracowników abepe Jędraszewskiego, były rektor krakowskiego seminarium, profesor teologii.

Janusz biskupstwa

Gdybym był jego rzecznikiem, to stwierdziłbym, że bepe Mastalski idzie śladem papieża Franciszka, który także upominał duchownych za zbyt długie przemowy. Krakowska ekscelencja nie znalazła jednak wiele zrozumienia wśród komentujących filmik. Swoje wrażenia opisał pewien organista, który jednakże wkrótce usunął wpisy. „To jest norma dla tego biskupa. Na każdej mszy, na której byłem i którą on odprawiał (bo celebrą tego nazwać nigdy nie idzie), były zawsze jakieś niespodzianki. Zawsze jak gram na mszy z bierzmowaniem, gdzie odprawia bp Mastalski, to później tydzień mam moralnego kaca. Pośpiech, wcinanie się na siłę, głupkowate teksty w różnych momentach mszy i teatr jednego aktora na koniec. Zachowanie z tego filmiku i tak jest delikatne, jak na tego bpa” – można było przeczytać, zanim się zreflektował albo zreflektował go telefon z kurii.

Oburzeni byli także duchowni, w tym ks. Daniel Wachowiak słynący z ostrych, prawoskrętnych wypowiedzi zamieszczanych w mediach społecznościowych. „Ależ dramat. Współczuję księdzu proboszczowi miejsca” – takim komentarzem opatrzył filmik wielkopolski kapłan. Gratulujemy księdzu Danielowi wejścia na drogę odkrywania życia i zyskiwania świadomości społecznej.

Może dzięki takim filmikom będzie miał okazję uzmysłowić sobie, jak zwykły człowiek traktowany jest przez klechów, podobnie jak pisowcy zauważyli niesprawiedliwość aresztów wydobywczych, gdy doświadczyli ich na własnej skórze.

Jeszcze kilka pokoleń i może będą z nich ludzie.

Godni następcy księcia

Co zaś do samej sytuacji, to jego ekscelencja Janusz Mastalski byłby godnym następcą Marka Jędraszewskiego na krakowskim stolcu metropolitalnym. O traktowaniu ludzi przez Jędraszewskiego zapisano już tony makulatury, ale i jego poprzednicy na tej zaszczytnej funkcji nie byli gorsi. W książce „Celibat” Marcina Wójcika zamieszczono wspomnienie kleryka seminarium krakowskiego w czasach rządów kard. Franciszka Macharskiego, bezpośredniego następcy Wojtyły w Krakowie. Wspomina ów kleryk rok 2000 w formie pamiętnika: „Wczoraj służyłem do mszy w kolegiacie św. Anny. Przewodniczył kardynał Macharski. Koledzy zazdrościli mi, że zostałem wyznaczony do posługi przy kardynale. Chyba z przejęcia podałem mu najpierw ampułkę z wodą zamiast z winem. Wyrwał mi wino. Niewiele brakowało i ampułka roztrzaskałaby się o posadzkę. A kiedy podszedłem z ręczniczkiem, żeby wytarł sobie palce po puryfikacji, rzucił mi w twarz tym ręczniczkiem. Na pewno chciał mnie przez to czegoś nauczyć”.

Rys. OBYWATEL JANEK

Ale to są dziecinne igraszki w porównaniu z tym, co wyczyniał mentor i protektor Karola Wojtyły, kard. Adam Stefan Sapieha. W książce „Maxima Culpa. Jan Paweł II wiedział” Ekke Overbeek zamieścił wspomnienia o tym księciu Kościoła ks. Anatola Boczka z czasów kleryckich, z których spowiadał się UB. „Jeżeli o mnie chodzi, to za każdym razem poklepywał mnie ze wszystkich stron i dotykał przez ubranie części płciowych (...) Kiedy znalazłem się w jego sypialni, po rozmowie na temat swego doniesienia, wyszedł w kalesonach i koszuli z łóżka, kazał zamknąć wszystkie drzwi na klucz i rozebrać się do naga. Obmacywał mnie po całym ciele, następnie trzymał i ściskał za genitalia jedną ręką, kazał wypiąć tylną część ciała i drugą ręką sznurem z węzłami uderzył mnie około 15 razy. Wszedł do łóżka i powiedział, że była to kara za to, że się rozpustnie zachowuję na parafii. W 1947 r. również na skutek doniesienia proboszcza zostałem przez Sapiehę wezwany. Przybyłem do niego rano, lecz rozmawiał ze mną tylko parę minut i polecił przyjść o 5-tej po południu. Gdy przyszedłem o godz. 5-tej, odprawił kapelana na miasto, zaprowadził do osobnego pokoju, gdzie stało łóżko, kazał rozebrać mi się do naga i położyć się na łóżku. Sam usiadł obok i obmacywał mnie po całym ciele i genitaliach. Mówił przy tym, że mnie bada, czy jestem zdrowy. Gdy powróciliśmy do pokoju przyjęć, dał mi 10 intencji mszalnych po 500 zł i polecił poprawić się” – wspominał ów duchowny, rówieśnik Jana Pawła II, z którym siłą rzeczy musieli się minąć w pałacu Sapiehy.

Wspomniany na początku ksiądz ze Skawiny miał jak widać wiele szczęścia, zaś biskupowi Mastalskiemu wróżymy świetlaną przyszłość w pięciu się po szczeblach kościelnej kariery.

MATT KOBOSKO

eprasa.pl 37a1455d59

Pani Rachel, bombelki i antysemityzm

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dziecięce piosenki dla Hamasu

Żal wam palestyńskich dzieciaczków ginących od izraelskich bomb? Uważajcie, bo sami znajdziecie się na celowniku tropicieli antysemityzmu.

Rachel Griffin Accurso jest 42-letnią amerykańską piosenkarką, autorką tekstów piosenek, edukatorką i wedle nowej poprawności politycznej – antysemitką. Kobieta za pośrednictwem platformy YouTube prowadzi swój kanał, na którym jako Ms Rachel emituje serial muzyczny dla dzieci poświęcony rozwojowi języka u niemowląt i przedszkolaków. Pani Rachel nie pakowała podprogowych przekazów o przerabianiu chrześcijańskich dzieci na macę w swoje filmy, mimo to została okrzyknięta fanką Hamasu. Dlaczego?

Edukacyjne przyśpiewki dla glutów w krótkim czasie zebrały niemałą widownię – kanał Ms Rachel na YouTube subskrybuje ponad 13 mln użytkowników, ponadto jej filmy na Instagramie i TikToku mają łącznie miliardy wyświetleń. W 2024 r. Accurso postanowiła przekuć sukces w dobry uczynek i jak się okazało, na charytatywnym gównie przejechała się podwójnie.

Hamas i śpiew

W maju ubiegłego roku Ms Rachel wystąpiła z inicjatywą akcji dobroczynnej na rzecz bachorząt z rejonów świata dotkniętych wojną. Zaoferowała, że odpłatnie nakręci spersonalizowane filmy z wybranym przez użytkowników przesłaniem, cały zaś dochód z zabawy zostanie przeznaczony na rzecz fundacji Save the Children – międzynarodowej organizacji pozarządowej, której celem jest poprawa życia dzieci na całym świecie. Wpłaty miały uwzględnić szczególnie najmłodszych w Sudanie, Ukrainie, Demokratycznej Republice Konga i Strefie Gazy.

Kampania spotkała się z tak szerokim zainteresowaniem, że w ciągu kilku godzin zgromadziła nie tylko 50 tys. dol., ale i zalew komentarzy noszących znamiona nękania i gróźb karalnych.

W filmie zapowiadającym zbiórkę pieniędzy Accurso powiedziała, że dzieci nie powinny doświadczać okropności wojny, bo to poważne naruszenie ich praw człowieka, a różne konflikty zbrojne łamią jej serce. Mimo tej wielkodusznej deklaracji Ms Rachel spuszczono po zardzewiałej brzytwie dyskryminacji, bo nie uwzględniła w swojej misji kaszojadów z Izraela. Nie pomogły tłumaczenia, że Save the Children nie działa w krajach tak bogatych jak Izrael, cytowanie zgodnych z raportami ONZ danych z palestyńskiego Ministerstwa Zdrowia w Gazie o ofiarach wojny czy publikacja fotografii konających z głodu palestyńskich smarków. Na fali tłuczenia pałą antysemityzmu zasugerowano Accurso, żeby nagrała film o izraelskich dzieciach porwanych z łóżek i spalonych żywcem. W odpowiedzi Ms Rachel tłumaczyła w kolejnym nagraniu, tonąc we łzach, że zależy jej na wszystkich dzieciach: chrześcijańskich, muzułmańskich czy żydowskich, a zorganizowanie zbiórki pieniędzy dla maluchów, które obecnie głodują, nie mają dostępu do wody i są zabijane – jest ludzkie. Jak się okazuje, nie dla wszystkich.

Cel i pal

Z początkiem kwietnia bieżącego roku profil youtuberki wpadł w oczy amerykańskiej organizacji Stop Antisemitism trudniącej się zwalczaniem wszelkich internetowych przejawów nienawiści wobec Żydów. Tropicieli antysemityzmu nie przekonały deklaracje Accurso i nie pędzlując się w tańcu, uznali ją za propagandzistkę Hamasu. Co więcej, postanowili zainteresować jej postacią prokurator generalną USA Pam Bondi.

Grupa w liście skierowanym do Departamentu Sprawiedliwości zwróciła się o ustalenie, czy Rachel Griffin Accurso „otrzymuje wynagrodzenie za rozpowszechnianie propagandy sprzyjającej Hamasowi wśród milionów swoich zwolenników", twierdząc, że jej posty w mediach społecznościowych o cierpiących palestyńskich dzieciach mogą stanowić „nieujawnioną pracę na rzecz podmiotów zagranicznych". „Biorąc pod uwagę ogromne sumy zagranicznych funduszy, które zostały przeznaczone na propagandę skierowaną do naszej młodzieży na kampusach uniwersyteckich, podejrzewamy, że podobna dynamika ma miejsce w przestrzeni influencerów internetowych" – napisała Liora Rez, dyrektor Stop Antisemitism w liście udostępnionym przez „New York Post". Dodatkowo organizacja uznała, że youtuberka, pochylając się nad losem palestyńskich glutów, zignorowała „cierpienie izraelskich ofiar, zakładników i żydowskich dzieci". Raporty i pozostałe materiały o katastrofie humanitarnej w Palestynie umieszczane przez kobietę w jej social mediach Rez nazwała natomiast „salwą antyizraelskiej propagandy".

Ewentualne wszczęcie dochodzenia na mocy ustawy o rejestracji zagranicznych agentów FARA (Foreign Agents Registration Act), która wymaga, aby Amerykanie pracujący w imieniu obcego rządu lub podmiotów politycznych rejestrowali się jako agenci zagraniczni w Departamencie Sprawiedliwości USA, brzmi niepoważnie, bo jakiekolwiek wsparcie dla Hamasu podlegałoby przepisom antyterrorystycznym. Lecz wbrew pozorom absurd całej tej sytuacji może mieć smarkate konsekwencje dla animatorki.

Pała cenzury

8 marca 2025 r. agenci amerykańskich służb imigracyjnych i celnych (ICE) aresztowali w Nowym Jorku Mahmouda Khalila, palestyńskiego aktywistę algierskiego pochodzenia i studenta Uniwersytetu Columbia. Aresztowanie miało związek z jego udziałem w pokojowych propalestyńskich protestach na kampusie w 2024 r., a do zwinięcia Khalila znacząco przyczyniła się właśnie grupa Stop Antisemitism. Członkowie formacji rozkręcili w sieci szeroką kampanię wymierzoną w propalestyńskich aktywistów, oskarżając ich, podobnie jak panią Rachel, o wspieranie Hamasu i działania antyizraelskie. Na platformie Elona Muska X publikowali posty, w których wymieniali studentów – w tym Khalila – krytykujących działania Izraela, podając ich imiona, nazwiska, zdjęcia oraz afiliacje uczelniane, wzywając przy tym swoich obserwatorów do zgłaszania ich służbom imigracyjnym. Dla ułatwienia złożenia donosu posty zawierały linki umożliwiające bezpośrednie kablowanie wskazanych osób do ICE.

Khalil stał się celem zmasowanych ataków online. Wskutek fali oszczerstw zaczął nawet otrzymywać groźby śmierci.

Jego zatrzymanie stało się flagowym przykładem nowych rządów Donalda Trumpa, który groził ukaraniem wszystkich zaangażowanych w działania „związane z Hamasem". Co ciekawe, Khalilowi nie przedstawiono żadnych zarzutów karnych.

Argumentem rządu do cofnięcia wizy „antysemity" ma być zapis ustawy o imigracji i obywatelstwie z okresu zimnej wojny, który stanowi, że cudzoziemcy przebywający w USA mogą zostać deportowani, jeśli sekretarz stanu uzna, że ich obecność będzie miała poważnie negatywne konsekwencje dla amerykańskiej polityki zagranicznej. Zatrzymanie Khalila wywołało powszechną reakcję organizacji broniących praw człowieka i praw obywatelskich. Członkowie Partii Demokratycznej w USA i prawnicy uznali działania ICE za atak na wolność słowa i pierwszą poprawkę konstytucji. W odpowiedzi Biały Dom opublikował prześmiewcze zdjęcie aresztowanego z podpisem „Shalom Mahmoud".

Jeden rabin powie tak...

Od ataku Hamasu na Izrael 7 października 2023 r. i odpowiedzi Izraela w Gazie, Stop Antisemitism wskazała setki osób potępiających ludobójcze działania Izraela i szeroko pojętą krytykę syjonizmu jako zwolenników terrorystów z Hamasu. W wielu przypadkach upublicznianie ich danych osobowych doprowadziło m.in. do poważnych konsekwencji, jak zwolnienie z pracy. Organizacje broniące praw człowieka wskazują, że ugrupowanie Stop Antisemitism zrównuje krytykę Izraela z antysemityzmem głównie w celu tłumienia wolności słowa. Lila Corwin Berman, profesor żydowskiej historii z Uniwersytetu Temple, oskarżyła organizację o przyjmowanie „tępej definicji antysemityzmu", która nie uwzględnia różnorodności opinii, w tym krytyki działań izraelskich władz ze strony samych Żydów. Kanadyjski rabin David Mivasair zarzucił ugrupowaniu podsycanie nastrojów antyżydowskich poprzez działania, które określił mianem rasistowskich i represyjnych.

Póki co nie jest jasne, czy amerykański departament sprawiedliwości będzie kontynuował dochodzenie wobec Ms Rachel. Deportację Khalila natomiast wstrzymał federalny sąd okręgowy, rozpatrując, czy jego aresztowanie było konstytucyjne. Tymczasem Departament Stanu USA poinformował, że wykorzysta sztuczną inteligencję do przeczesywania kont w mediach społecznościowych i sprawdzania doniesień prasowych o propalestyńskich demonstracjach, aby zidentyfikować wszystkich, którzy na terenie Stanów Zjednoczonych dopuszczają się tej formy antysemityzmu.

Z danych Agencji Reutera z marca 2025 r. wynika, że wśród ponad 50 tys. ofiar w Gazie blisko jedna trzecia to osoby poniżej 18. roku życia, co sugeruje, że liczba dziecięcych ofiar konfliktu może przekraczać 16–18 tys.

IDALIA DUBICKA

KAZACZOK Z CZOŁGAMI

☆ Wołodymyr Zełenski jednoznacznie zasugerował, że Ukraina planuje ataki na Moskwę 9 maja, i oznajmił, że nie zagwarantuje bezpieczeństwa przyjaciołom Putina, którzy stawią się na Placu Czerwonym w Dniu Zwycięstwa. Były prezydent Rosji Dmitrij Miedwiediew odparł: *W przypadku prawdziwej prowokacji w Dniu Zwycięstwa nikt nie będzie w stanie zagwarantować, że Kijów przetrwa 10 maja*.

☆ *To my wygraliśmy obie wojny, daleko wyprzedziliśmy wszystkich swą siłą, odwagą i kunsztem wojennym* – oznajmił w mediach społecznościowych Donald Trump. W odpowiedzi rosyjskie MSZ zacytowało jednego z poprzedników Trumpa, Franklina Delano Roosvelta, który pisał: *Armia Czerwona i naród rosyjski niewątpliwie doprowadziły siły zbrojne Hitlera do ostatecznej klęski i zyskały tym trwały podziw narodu amerykańskiego*.

☆ O przeszłości pisze także Grzegorz Rudnik na łamach „Przeglądu": *W Związku Radzieckim Kijów i Charków były trzecim po Moskwie i Leningradzie okręgiem naukowo-przemysłowym w kraju. W Charkowie działała m.in. Fabryka im. Małyszewa, główny producent czołgów, w tym T-34, T-54, T-64, silników oraz lokomotyw. Zakład ten odpowiadał za ok. 80 proc. produkcji czołgów T-34 w ZSRR podczas II wojny światowej. Szczególne znaczenie miał zaś Ukraiński Instytut Fizyki i Technologii, który był pionierem badań nad fizyką jądrową i technologią materiałową. To w Charkowie po raz pierwszy w ZSRR dokonano rozszczepienia atomu. W Dniepropietrowsku działały zakłady Jużmasz, jeden z pięciu największych na świecie producentów rakiet nośnych.* (...) *W Donbasie wydobywano najwyższej jakości węgiel – antracyt – który był wykorzystywany w ukraińskich elektrowniach. W kraju działało pięć elektrowni atomowych, w tym największa w Europie Zaporoska Elektrownia Jądrowa. Produkowały one połowę energii elektrycznej w Ukrainie. Dodajmy do tego najlepsze w tej części świata gleby – słynne ukraińskie czarnoziemy, rozwinięty przemysł hutniczy i maszynowy, stocznie w Nikołajewie, wielki port w Odessie*. Wystarczyło 30 lat niepodległości, żeby niemal wszystko obrócić wniwecz.

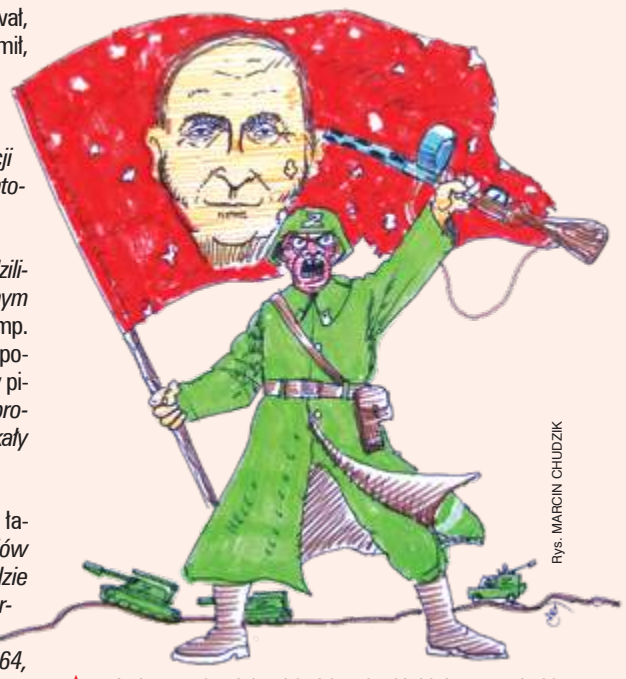

Rys. MARCIN CHUDZIK

☆ Jedną z niewielu dziedzin ukraińskiej gospodarki, która od uzyskania niepodległości wciąż się rozwija, jest łapówkarstwo. W ostatnim czasie ujawniono, że wiceszef Charkowskiej Rady Obwodowej Wołodymyr Skorobahacz na przekrętach w handlu energią elektryczną dorobił się 58 mln hrywien (5,5 mln zł). Z kolei wiceminister energetyki Ołeksandr Chejło za wydanie pozwolenia na wywóz sprzętu górniczego z Donbasu zainkasował pod stołem pół miliona dolarów. *Na Ukrainie w prywatnych kieszeniach ginie również pomoc przysyłana z zagranicy. Już w październiku 2023 r. Centralny Urząd Celny Ukrainy informował, że jedna trzecia z 9 tys. skontrolowanych od początku roku transportów humanitarnych nie dotarła do ukraińskich jednostek wojskowych. Po drodze została bowiem rozkradziona.* (...) *Łapówkarstwo wydaje się tak mocno na Ukrainie zakorzenione, że walka z nim to syzyfowa praca. Zwłaszcza że korupcja nie jest tylko przypadkiem urzędników czy polityków – „w łapę" daje również wielu zwykłych Ukraińców* – relacjonuje Maciej

eprasa.pl 37a1455d59

Głowa piramidy finansowej?

Javier Milei namówił tysiące Argentyńczyków do wtopienia kasy w szemraną kryptowalutę

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

„Wolna Argentyna rozwija się! Ten prywatny projekt przyczyni się do pobudzenia wzrostu argentyńskiej gospodarki, zwłaszcza małych firm i przedsięwzięć argentyńskich. Cały świat chce inwestować w Argentynie, w $LIBRA" – ogłosił prezydent Argentyny Javier Milei 14 lutego na portalu X.

Niech żyje wolność

Dla promocji kryptowaluty $LIBRA grupa KIP Project stworzyła stronę „Viva La Libertad Project" (Projekt Niech żyje wolność). Milei ma 3 mln obserwujących na X i 6 mln na Instagramie, jego skala oddziaływania na masy jest więc ogromna. Odzew na orędzie prezydenta był proporcjonalnie wielki. Już minutę po 19.00 – godzinie publikacji tweeta o „rozwoju wolnej Argentyny" – kilkanaście portfeli wirtualnych z różnych krajów wyemitowało polecenie zakupu $LIBRA za 5 mln dol. Wartość kryptowaluty poszybowała w górę. Około godziny 22.00, gdy wartość jednego impulsu wynosiła już 5,25 dol., rozpoczęła się nagle wyprzedaż $LIBRA. W godzinę później kurs spadł o połowę. Następnego dnia wynosił zaledwie 30 centów.

Analiza dotycząca gwałtownego spadku kryptowaluty wskazuje, że 50 proc. tokenów było blokowane przez system Iupiter, co oznaczało, że połowa $LIBRA nie mogła być wycofana ani w jakikolwiek sposób spożytkowana przez jej właścicieli aż do 2027 r. 37 proc. tokenów było kontrolowanych przez zaledwie dwa portfele wirtualne. Właśnie nieliczna grupa nagle wyprzedała swoje aktywa, co spowodowało załamanie kursu i pozostawiło kilkadziesiąt tysięcy uczestników zabawy bez pieniędzy.

Milei usunął swojego tweeta, gdy tylko zauważył, że wartość kryptowaluty leci w dół.

Prezydent wyjaśnił, że tak naprawdę nie wiedział, co promował, i że zawsze popiera wszelkie inicjatywy prywatne. Krytyków określił tradycyjnie mianem kasty, która zasługuje jedynie na to, by ją „kopnąć w dupę".

Warto nadmienić, że Milei w 2021 r. jako deputowany promował inne kryptowaluty – takie jak CoinX World i Qpons. Rezultaty tych promocji okazały się opłakane dla wielu ludzi, którzy postanowili w nie zainwestować. Pamięć przeciętnego człowieka nie sięga jednak zbyt daleko – Argentyńczycy ponownie dali się złapać na obietnice wielkiego i łatwego zarobku. Tym razem jednak konsekwencje wylansowania i upadku tokena $LIBRA mogą być dużo większe i bardziej wielopłaszczyznowe.

Gniew ludu

Pierwsze szacunki mówiły o 44 tys. osób, które straciły łącznie 100 mln dol. Jednak według danych The Solana Post (platforma blockchain) poszkodowanych było około 75 tys., ich straty zaś wyniosły 286 mln dol.

Wyliczenia mówią, że 71 tys. osób przegrało do 1000 dol., a nieomal 13 tys. graczy wtopiło od tysiąca do 100 tys. Powyżej 100 tys. dol. straciło 463 graczy. Jeden z nich – który w pierwszych minutach po komunikacie Mileia wygrał 40 tys. – ostatecznie przegrał 5,2 mln.

Byli także zwycięzcy w tej imprezie. 25,2 tys. osób wygrało do 1000 dol., 3336 – od 1001 do 100 tys. 200 osób wzbogaciło się o ponad 100 tys. dol. (na podst. infobae).

Krótko mówiąc: przegranych jest trzy razy więcej. Warto przy tym pamiętać, że 1 dol. to ponad 1000 pesos, co ilustruje rozmiar spustoszenia w portfelach zaangażowanych w grę Argentyńczyków. Nic więc dziwnego, że zaraz po upadku $LIBRA do wymiaru sprawiedliwości napłynęło 112 pozwów przeciwko Javierowi Mileiowi oskarżanemu o udział w oszustwie. Gwałtownie zareagowała peronistowska i lewicowa opozycja.

Cristina Kirchner stwierdziła, że Milei nie nadaje się na prezydenta i niesłusznie zasiada na „krześle Rivadavii" (fotel prezydentów Argentyny). Dodała, że Milei zmienił Argentynę w kasyno, w którym prezydent występuje jako krupier. Gubernator prowincji Buenos Aires Axel Kicillof napisał na swoich stronach w mediach społecznościowych: „To wydarzenie bez precedensu. Typowa piramida finansowa na kryptowalutę, mnóstwo ludzi w kraju i za granicą zostało oszukanych. To skandal i wstyd, a przede wszystkim to przestępstwo". Kicillof uznał tłumaczenia prezydenta za zwykłe kłamstwo. Przewodniczący Frente Patria Grande (Front Wielkiej Ojczyzny) Juan Grabois zapowiedział, że będzie patronował zbiorowemu pozwowi obywatelskiemu przeciw prezydentowi. Blok Diputados de Union por la Patria (Parlamentarzyści Unii dla Ojczyzny) zażądał przesłuchania głowy państwa przez kongres. W senacie inicjatywa powołania komisji celem zbadania udziału Mileia w tej piramidzie finansowej przepadła jednym głosem.

Niezależnie od stanowiska neoliberałów w parlamencie, kilka dni po aferze prokurator federalny Eduardo Taiano wniósł przeciw prezydentowi oskarżenie o udział w oszustwie finansowym. Podstawą rozpoczęcia procesu było doniesienie złożone przez Juana Graboisa i deputowanego Itaia Hagmana. Proces przeciw Javierowi Mileiowi został otwarty w Justicia Federal de San Isidro (Sąd Federalny). Sędzia Sandra Arroyo Salgado poleciła dokładne ustalenie miejsca pobytu prezydenta w momencie publikacji niesławnego tweeta.

Wszyscy ludzie prezydenta

Postępowanie sadowe objęło także grupę ludzi podejrzanych o relacje z prezydentem i mających duży udział w stworzeniu tej kryptowaluty. Są to: Amerykanin Hayden Mark Davis, Singapurczyk Julian Peh oraz młodzi, kreatywni i przedsiębiorczy Argentyńczycy: Mauricio Gaspar Novelli, Manuel Terrones Godoy i Sergio Daniel Morales.

Najważniejszą postacią jest założyciel firmy Kelsier Ventures, 28-letni Teksańczyk Hayden Mark Davis. Jest on twórcą tokena $LIBRA i według dziennika „La Nacion" odpowiada za jego upadek. Przed przybyciem do Argentyny rodzina Davisów zarobiła wiele milionów dolarów na kryptowalutach takich jak $CAR, $Enron, #Melania, #Trump, #Ryan, #M3M3, $Aiai. Wiadomo, że Hayden miewał kontakty telefoniczne z Melanią Trump i przedstawiał się jako doradca obecnego prezydenta Argentyny. Wspólne zdjęcie obu panów można zresztą bez trudu znaleźć w internecie. W 2024 r. Davis był kilkukrotnie w Argentynie w towarzystwie Hiszpana Artura Oeste Herraiza, a także swojego ojca i brata. Ojciec, Charles Thomas Davis, wykazywał się tak wielką aktywnością w zakresie kryptowalut, że wzbudził zainteresowanie FBI. Hayden junior w lipcu 2024 r. odwiedził Javiera Mileia w Casa Rosada w towarzystwie młodych przedsiębiorców, wspomnianych wyżej Novellego i Terronesa Godoya, a także polsko-amerykańskiego biznesmena Bartosza Lipińskiego.

Hayden Davis twierdził, że jego intencją było inwestowanie w Argentynie. Nie skorzystał jednak z okazji udowodnienia swoich dobrych chęci: nie stawił się w argentyńskim sądzie, zniknął i nikt nie wie, gdzie jest. Występująca w jego imieniu adwokat Yanina Nicoletti przekazała oświadczenie, że winę za upadek $LIBRA ponosi prezydent, który w kluczowym momencie wycofał swoje poparcie dla imprezy.

Trudno ocenić, ile zarobił młody Teksańczyk. Najczęściej wymienia się kwotę 87 mln do 100 mln dol., ale firma Arkham, specjalizująca się w analizach sieci blockchain i kryptowalutach, ocenia, że może chodzić nawet o 300 mln dol. Arkham zidentyfikowała ponad 1000 wątków z funduszami oznaczonymi nazwą Libra, za pomocą których Kelsier Ventures penetrowała opisywaną piramidę finansową.

Kolejny oskarżony, singapurski przedsiębiorca Julian Peh, jest założycielem firmy KIP Project, która zaoferowała swoje miejsca w sieci web dla tokena $LIBRA. Peh zapewnia, że prezydent nie miał nic wspólnego z projektem $LIBRA, co budzi niejakie wątpliwości. Wiadomo, że Singapurczyk spotkał się z Mileiem 19 października 2024 r. Na forach libertariańskich panuje przekonanie, że to spotkanie było początkiem pomysłu $LIBRA. W tym spotkaniu uczestniczył także inny bohater aktu oskarżenia Daniel Morales, który występował tam jako doradca Zarządu Narodowej Komisji Środków Płatniczych (Directorio de la Comision Nacional de Valores).

Z kolei Mauricio G. Novelli jest starym znajomym Javiera Mileia i jego siostry (a także sekretarki) Kariny; założył też firmę N&W Traders zajmującą się kryptowalutami.

• • •

Krąg ludzi zamieszanych w „projekt" $LIBRA nie ogranicza się do wzmiankowanych postaci. Afera zatacza coraz szersze kręgi. Ostatnio pojawiły się informacje, że wymiar sprawiedliwości USA też zamierza zainteresować się Javierem Mileiem – okazuje się, że wielu Amerykanów też dało się oszukać tej piramidzie finansowej.

Czy urzędujący prezydent Argentyny istotnie wykazywał wręcz dziecięcą wiarę, że każda prywatna inicjatywa przynosi tylko korzyści, czy też miał w tym prywatny interes, pozostaje do wyjaśnienia. Dlaczego nie zasięgnął opinii na temat rodziny Davisów, którzy już wcześniej byli uwikłani w nieczyste kombinacje z kryptowalutami, i otoczył się czeredą młodych ludzi o wątpliwej wiarygodności? Proces sądowy może dać odpowiedzi na wiele z tych pytań. Ale trzeba też zaznaczyć, że nadzieje peronistów na odsunięcie Mileia od władzy są przedwczesne; ma on potężne poparcie w kręgach oligarchii – krajowej i międzynarodowej.

ANDRZEJ ULMER

Pieczyński w „Do Rzeczy". Kilka lat temu na Ukrainie rozważano nawet wprowadzenie podatku od łapówek w wysokości 15 proc. Niestety, pomysł nie doczekał się realizacji.

☆ Jacek Pawlicki opublikował w „Newsweeku" wzruszającą relację z wizyty na Ukrainie: *Ekspres Warszawa–Kijów rusza z Dworca Wschodniego. W pociągu prawie sami Ukraińcy, głównie kobiety. Zajmuję miejsce w przedziale, mając w głowie słowa Jana Klaty, który po przyjeździe ze stolicy Ukrainy powiedział, że „wrócił z przyszłości". Podobne słowa słyszałem od Serhija Żadana i Ołeksandra Mycheda. Obaj pisarze w odstępie roku – w drugą i trzecią rocznicę pełnoskalowej inwazji – mówili mi, że jeśli siły obrony Ukrainy nie powstrzymają Putina, kraje bałtyckie i Polska będą następne. W wymiarze symbolicznym Ukraina to współczesne Okopy Świętej Trójcy. Te historyczne, zbudowane u schyłku Rzeczpospolitej Obojga Narodów nad Dniestrem, Rosjanie zdobyli niemal równo 256 lat temu. Metaforyczne trzymają się mocno. Rosja jest 30 razy większa, 10 razy bogatsza oraz 3,5 razy ludniejsza, a mimo to nie udało jej się pokonać Ukrainy. (...) Z Warszawy do Kijowa jest nieco ponad 800 km, ale odległości od pokoju do wojny nie da się zmierzyć tradycyjną miarą. Nie sposób też zrozumieć tego, co przeżywają Ukraińcy. Poczucie zagrożenia i śmierć bliskich – pod gruzami w atakach rakietowych czy na froncie – stały się dla nich częścią życia. (...) Cena heroicznego oporu jest bardzo wysoka, ale na szali wszystko, co najważniejsze*. Literacki Nobel dla red. Pawlickiego wydaje się pewny.

☆ Znany z publicznego miłowania liberalnej demokracji i praw człowieka prezydent Francji Emmanuel Macron spotka się z nowym przywódcą Syrii Ahmedem asz-Szarą. Kancelaria francuskiego prezydenta poinformowała, że spotkanie *będzie potwierdzeniem poparcia Francji dla budowy nowej Syrii, wolnej, stabilnej i suwerennej Syrii, która szanuje wszystkie elementy syryjskiego społeczeństwa.* Dodajmy, że asz-Szara to wieloletni bojownik Al-Kaidy, którego rządy rozpoczęły się od masowej rzezi mniejszości etnicznych i religijnych.

MAREK SANOWSKI
ukraina.tygodniknie@gmail.com

eprasa.pl 37a1455d59

Tego, co zostało z życia seksualnego Polaków, żadne badania nie ogarną.

Libido, kadzidło i złoty

Rys. WIDGET

Kiedy kończył się wiek XX, przynajmniej raz w roku seks uprawiało 86 proc. obywateli Rzeczpospolitej. Ale 26 lat temu nie było PiS. Nie było też Wojsk Obrony Terytorialnej. Ba, Dnia Żołnierzy Wyklętych też nie było. No i wojny tuż za granicą. A teraz to wszystko jest. No i efekt też jest. Teraz bzyka się 70 proc. naszej bogoojczyźnianej populacji. Reszcie wystarczą godzinki, nadgodziny w pracy i udział w spotkaniach przedwyborczych?

Przedłużenie sensu

Wygląda, że tak. Bo skoro we wszystkich badaniach społecznych, czy nawet wynikach wyborów, widać ostrą polaryzację, to jednocześnie maleje satysfakcja rodaków z pożycia seksualnego.

Bo jeśli w 2011 r. radość ze spółkowania deklarowało 68 proc. uskuteczniających seks rodaków, to teraz twierdzi tak 46 proc. Polek i Polaków w wieku predestynującym do aktywności łóżkowej.

Co w sumie jest zrozumiałe, wszak są przecież rzeczy istotniejsze. A skoro jest zagrożenie granic, praworządność, prawa kobiet i Trump, to uprawianie seksu jest w takiej sytuacji bez sensu. Przecież czas na wykonywanie – jak to określił Immanuel Kant – ruchów niegodnych filozofa można przeznaczyć na coś znacznie ciekawszego. Na przykład na zastanawianie się nad sensem i celem życia oraz powstrzymaniem katastrofy klimatycznej.

Tyle że Polacy i Polki nad pryncypiami też nie główkują. Zasadnicze kwestie zaprzątają dziś głowy znacznie mniejszej grupie Polaków niż ćwierć wieku temu. Podówczas dumało o tym 80 proc., dziś – ledwie 69 proc. Niewiele mniej niż tych, którzy porzucili kopulację. Każdemu badaczowi wniosek wydaje się prosty. Na początku tysiąclecia Polacy, dumając o sensie życia, dochodzili do darwinowskiego przekonania, że są po to, aby przekazać swe geny w celu przedłużenia gatunku. Teraz, będąc ludźmi uświadomionymi przez media i internet, po pierwsze wiedzą, że istnieją, żeby pracować i kupować, a po drugie udowodniono im, że Darwin to tylko teoria.

Choć nie tylko. Sondażownie obczaiły, że tym, co według rodaków stanowi o sensie życia, jest też zdrowie. Przez 25 lat Polacy tak kombinujący przyrośli z 31 do 42 proc. A ponieważ media szermują takimi pojęciami jak „odporna na antybiotyki rzeżączka", „bezobjawowa chlamydioza" czy „epidemia HPV", to racjonalna ze wszech miar zdaje się ucieczka od zachowań, w których człowiekowi takie świństwo grozi.

Dowodem na słuszność takiego rozumowania jest fakt, że 80 proc. Polaków szczytuje podczas stosunku, Polek zaś tylko 50 proc. Ale to wszak one, a nie faceci umierają na wywołanego brodawczakiem ludzkim raka szyjki macicy. Jak więc mają być zadowolone, kiedy w czasie, gdy ich pochwę penetruje jakiś penis, zastanawiają się, czy zostaną poczęstowane tylko opryszczką genitalną, czy od razu AIDS. Ale zamiast pójść do lekarza, Polki wolą się bać. Co dziesiąta Polka nie chodzi regularnie do ginekologa. Dotyczy to szczególnie kobiet w wieku 18–25 lat. W tej grupie korzysta z usług tego specjalisty jedynie 28 proc. kobiet.

W seksuologii hipolibidemia to zaburzenie, które sprawia, że nie ma się ochoty na seks. Z badań wynika, że dotyka 25–37 proc. kobiet i 11–25 proc. mężczyzn na świecie. W Polsce hipolibidemia wyszła u 30 proc. kobiet i 15 proc. mężczyzn. Nie ma się zatem co dziwić, że

dla 30 proc. Polek seks jest zupełnie nieistotny. Znalezienie zaś takiej, co stawia satysfakcję seksualną na czele swego jestestwa, jest trudne. Do tego, że najbardziej ze wszystkiego lubi baraszkować erotycznie, przyznaje się mniej niż co 12. Polka.

Panie te albo mają podniesioną granicę tolerancji na zapach partnera, albo do tej pory nie trafiły na niemyjącego się Polaka. Pecha w tym zakresie miała jednak co 14. niewiasta.

Facetom takie detale jak brak higieny partnerki nie przeszkadzają. Fetor kochanki pozbawił erekcji tylko 4 proc. z nich.

Gdyby zestawić badania seksuologiczne z tym, co wyszło naukowcom badającym zwyczaje higieniczne narodu polskiego, to wyjdzie, że albo respondenci ankietowani o seksie łgali, albo Polacy nauczyli się przed ekscesami łóżkowymi korzystać z łazienki. Inaczej nie da się wytłumaczyć tego, że średnio co 10. Polak nie używa szczoteczki do zębów, 17 proc. respondentów nie myje się codziennie – bo ich zdaniem kąpiel co 2–3 dni w zupełności wystarcza – a co czwarty Polak myje się raz w tygodniu lub rzadziej.

Internet łączy ludzi

Jednak to nie zapach partnera odbiera Polakom płci obojga ochotę na karesy. Najczęściej nie chcemy się bzykać z powodu zmęczenia. Połowa kobiet twierdzi, że nie ma po prostu siły na seks. Kolejnymi przeszkodami powstrzymującymi kobiety przed gimnastyką seksualną są: złe samopoczucie – 49 proc. i problemy w związku – 43 proc. Zniechęcają też: miesiączka – 42 proc., stres – 32 proc., poczucie bycia nieatrakcyjną – 19 proc. i lęk przed ciążą – 13 proc. Z facetami jest nieco inaczej, bo zmęczenie to alibi do niepójścia do łóżka ledwie dla co piątego faceta. Co pokazywałoby, że panowie nawet w anonimowych ankietach muszą być macho. Choć przecież gdy chodzi o nich, sprawa jest niezrozumiała, bo w każdej aptece mogą kupić pigułki, które pozwalają facetowi wykazać się męskością nawet podczas snu.

A może z tym przepracowaniem to jednak ściema? Całkiem inne badania dotyczące ryzykownych zachowań Polaków pokazały, że przyczyna tkwi w czymś innym. Może po prostu i faceci, i kobiety odmawiają seksu partnerowi, bo chwilę wcześniej uskuteczniali go z kimś innym?

Jeśli bowiem w 2011 r. na boki skakało 22 proc. z nas, to w ubiegłym roku 45 proc. osób mających kogoś seksiło się z kimś, kto tym kimś nie był. Odsetek pań, które będąc w związku, uskuteczniają seks poza nim, w ciągu ostatnich 25 lat wzrósł o 40 proc. A wszystko dzięki popularności aplikacji randkowych, które nader łatwo łączą ludzi. Seks poza związkiem uskutecznia więc co trzecia kobieta i więcej niż co drugi facet. A skoro tak, to każde z nich ma prawo do zmęczenia.

Zmęczenie jest kategorią często wiązaną z pracą zawodową. Badania pokazują, że skok w bok też. 60 proc. bzykających nie swoją partnerkę facetów zrobiło to z koleżanką z pracy w czasie wspólnego wyjazdu służbowego – znaczy delegacji. Równouprawnienie dotarło jednak i tu. Delegacyjnemu bzykanku oddawało się 52 proc. nieszczególnie wiernych niewiast.

Inne badania dodają do tego takie drobiazgi jak fakt, że 15 proc. przypadków seksu poza związkiem ma miejsce w pracy. Dla 11 proc. idealne warunki do spróbowania kogoś innego były na wyjeździe integracyjnym. A jak ktoś pozbywa się lubej lub lubego z domu do pracy gdzieś daleko, to powinien wiedzieć, że co piąta taka osoba pracująca z dala od domu przez wiele tygodni ulży sobie z kimś w tym czasie. Ale to i tak nic w porównaniu z tymi, których partner ma urlop, a oni go nie mają i na ten urlop pozwalają takiej osobie wyjechać. Co czwarte wypuszczone samopas na wczasy przywlecze im stamtąd szwagra lub szwagierkę.

36 proc. Polek i Polaków miało od dwóch do pięciu partnerów lub partnerek seksualnych – średnio czterech. Kobiety z największych miast – pięciu, a mieszkanki wsi – trzech. Niedużo? Oczywiście, i to mimo świadomości, że głównym powodem mniejszej satysfakcji z seksu jest dla naszych rodaków zbyt mała liczba kontaktów seksualnych. 28 proc. badanych płci obojga wolałoby częściej uprawiać seks.

Na ratunek mężatka

I to jaki! Do najczęstszych fantazji seksualnych wskazanych przez rodaków należą: seks na świeżym powietrzu – dla 28 proc., w trójkącie – 24 proc., w miejscu publicznym – 19 proc., analny – 14 proc., seks z odgrywaniem ról – 13 proc., udział w orgietce – 12 proc., akcja sado-maso lub seks na randce z internetu – po 9 proc. 7 proc. ma też marzenie o seksie z osobą innej płci niż ta, która jest przez nich preferowana na co dzień. Oczywiście fantazje te urealnia ledwie 8 proc. fantazjujących. Reszta wstydzi się o nich napomknąć nawet partnerowi.

Skoro swoje życie seksualne ubogaca poza związkiem niemal 40 proc. rodaków, a z seksu zadowolonych jest niemal tyle samo, to co robią pozostali? Oni myślą – jak oznajmili CBOS-owi – że tym, co decyduje o sensie życia, jest rodzina. Tak uważa przecież 54 proc. Polaków. Niemal tyle samo, ile deklaruje, że uprawia seks mimo braku nań ochoty.

Z badań wychodzi też, że najszczęśliwsi seksualnie są ludzie w związkach, którzy uskuteczniają seksualne wygibasy na boku. Wynikałoby z tego, że single mają niefajnie. Według jednych badań spośród singielek seks uprawia ledwie co siódma. Faceci mają lepiej albo jak zwykle się przechwalają, bo partnerki do łóżka miewa co trzeci z nich. Niestety badania te nie konkretyzują, czy 14 proc. singielek obsługuje seksualnie te 34 proc. singli, czy też muszą się oni posiłkować mężatkami. Są też inne badania, tamtym przeczące, z których wynika, że pożycie seksualne zarówno singlom, jak i singielkom przydarza się trzykroć częściej niż osobom żyjącym w parach.

CBOS wychodzi, że sensem życia dla Polaków przestają być dzieci i wnuki. 25 lat temu progenitura była ponad wszystko w świecie dla co czwartego Polaka. Teraz – dla co siódmego.

Widać to nawet w badaniach nad seksualnością. Bo nawet 800 plus nie zmieniło tego, że więcej niż co piąta kobieta nie ma chęci na chwileczkę orgazmu z powodu obawy o zajście w niechcianą ciążę. To dziwne, bo według całkiem innych badań ledwie 80 proc. 18-latków wie, że po stosunku odbywanym na stojąco można zajść w ciążę, 38 proc. dziewcząt i 51 proc. chłopców zdawało sobie sprawę, że w trakcie stosunku oralnego mogą zarazić się chorobą weneryczną, i tylko połowa wiedziała, że stosunek przerywany może się zakończyć ciążą. Czy takie dane mogą dziwić, gdy się wie, że 54 proc. Polaków najczęściej szuka wiedzy o seksie w internecie, a ledwie 17 proc. czerpie ją bezpośrednio od lekarzy?

A mówimy o cywilizowanym kraju w XXI-wiecznej Europie. Takim, w którym 17 proc. populacji jest za zakazem zapłodnienia pozaustrojowego. A trzy razy tyle jest skłonnych głosować na ludzi, którzy chcieliby zabronić nawet antykoncepcji. O kraju, gdzie ponad jedna czwarta dorosłej populacji obywa się bez seksu i tyle samo co niedziela melduje się w kościołach.

TOMASZ BOROWIECKI

REKLAMA

eprasa.pl 37a1455d59

Uczy, bawi, wychowuje

Będzie o ludziach kształtowanych przez sport

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Po ostatnim gwizdku sędziego w finałowym meczu Pucharu Króla między FC Barceloną a Realem Madryt rozeźlony stoper stołecznych Antonio Rüdiger rzucał kostkami lodu w sędziego, a kibicował mu skrzydłowy Vinicius Júnior. Rüdiger został zawieszony na sześć meczów, Viniego potraktowano łagodniej. Przy okazji zaczęto dużo mówić o tym, że słynni sportowcy są przykładem – w tym przypadku złym – dla młodzieży i dlatego należy takie zachowania bezwzględnie piętnować. Dawno już nie słyszałem podobnych słów. Przyzwyczailiśmy się patrzeć na sport jako na widowisko w wykonaniu zawodowców, a nie na szlachetną rywalizację herosów.

Nie jestem do końca przekonany, że gwiazdy sportu są przykładem dla młodzieży. Jeśli znany piłkarz przeklina, nie znaczy to, że stanowi wzór do naśladowania dla dzieci. Mają wzory bliżej, często w domu. Przeklinanie stało się czymś tak powszechnym, że być może słowa wykropkowywane dotychczas w świętoszkowatych gazetach i zagłuszane piskiem w telewizji wejdą do oficjalnego języka jako coś w rodzaju wypowiadanego na głos znaku przestankowego.

Czy Iga Świątek krzycząca głośno na korcie w Madrycie podczas fatalnie przerżniętego meczu z Coco Gauff „kurwa, dlaczego?!” sprawi, że teraz każdy będzie w podobny sposób kwitować swoje niepowodzenia? Bzdura. Kto przeklinał, ten będzie to robić nadal, a kto woli mowę Marii Konopnickiej, zostanie przy swoim.

Sportowiec to jest ktoś

Jeśli sportowcy są autorytetami dla młodzieży, to z całą pewnością nie są jedynymi. Nawet nie wiem, kto teraz jest na topie i kogo śledzi się w internecie, bo nie istnieję w portalach społecznościowych. Z całą pewnością stamtąd są najczęściej czerpane wzory, a piłkarze i inni sportowcy trafiają tam niejako przy okazji.

Coraz częściej się łapię, że należę do innej epoki, nie tylko przedinternetowej, ale nawet przedtelewizyjnej. Dla nas sportowiec był naprawdę kimś. Kto wie, czy to właśnie nie fascynacja gwiazdami stadionów pokierowała moim życiem i dlatego już jako student usilnie starałem się dostać do „Przeglądu Sportowego”?

Wsłuchiwaliśmy się we wszystkie wywiady, jakich udzielali Lubański, Deyna, Szołtysik, i analizowaliśmy każde słowo. Później jako dziennikarz sam rozmawiałem z tymi boiskowymi sławami. Uzyskanie wywiadu nie było łatwe, bo o tym, z kim i kiedy będzie rozmawiać, decydował sam zawodnik. Dziś decydują władze klubowe, a rozmowie uważnie przysłuchuje się przedstawiciel klubu. Czy w tych okolicznościach wywiady sportowców mogą być autentycznymi wzorami dla młodzieży?

Samo uprawianie sportu także straciło walor wychowawczy. Zaczyna się trenować w wieku kilku lat, gdy decyzje za dzieciaka podejmują dorośli. Później już trudno się z tego wykręcić, bo jest się zawodowcem.

Za mojej młodości sport otwierał ludziom okno na świat. Dziś widzę to tylko w mniej popularnych dziedzinach.

Jeśli dziwi Czytelników, dlaczego tak bardzo kocham nasze futbolistki, odpowiadam natychmiast. Przypominają mi młode lata i ówczesny sport. W większości piłkarki wywodzą się z małych miasteczek i ze wsi. Kopanie piłki otworzyło przed nimi świat. Grają w najlepszych klubach Europy, znają języki, niektóre ukończyły wyższe uczelnie w USA, grając w tamtejszych klubach akademickich. Jak ich nie kochać?

Bęcki w poprawczaku

Czy mnie wychowywał sport? Uprawiałem go zbyt krótko, żebym mógł dużo o tym opowiedzieć. Na pewno coś takiego było. Pamiętam znakomitą atmosferę w drużynie, koleżeństwo, wspólne przeżywanie zwycięstw i porażek. Gdy po zdaniu na studia musiałem zmienić barwy klubowe na AZS, takie były wówczas wymogi, prędko wykorzystałem niegroźną kontuzję jako pretekst do zakończenia treningów. Nie potrafiłem w nowym zespole odnaleźć tej fajnej atmosfery. Po co więc było męczyć się na treningach?

Gdy jeszcze grałem jako junior w Spójni Warszawa, postanowiono wykorzystać naszą drużynę w celach wychowawczych. Nie wiem, na czym polegać miał ten eksperyment, ale zawieziono nas do domu poprawczego w Warszawie, żeby rozegrać mecz z jego – nie wiem, jak ich poprawnie nazwać – pensjonariuszami. To nie był dobry pomysł. Poziom naszej gry nie był może nadzwyczajny, ale coś już umieliśmy. Mieliśmy opracowane różne myki, nasi rywale nie potrafili nic, bo w ogóle nigdy nie trenowali. Ośmieszaliśmy ich – co było naprawdę głupim posunięciem – w prawie każdej akcji. Nie mogło być inaczej.

Wściekali się, ale na boisku, pod okiem swoich wychowawców, jakoś to znosili. Zadowoleni zeszliśmy do szatni, wykąpaliśmy się pod prysznicem i ruszyliśmy do domu. Przed budynkiem boiskowi rywale już czekali na nas, a wychowawców nie było. Zaczęła się bójka na kopniaki i pięści, a w niej nasi przeciwnicy mieli już swoje myki, lepsze niż my. Wróciłem do domu z podbitym okiem, pocieszałem się tylko, że na prawej dłoni miałem skórę zdartą niemal do kości, więc ten, kto rzucił się na mnie, też musiał mieć jakiś ślad na swojej buźce.

Po czasie myślę, że obie strony wyciągnęły z tego meczu wnioski. Chłopaki z poprawczaka zobaczyły, że dzięki systematycznym treningom można dobrze grać. My nauczyliśmy się, że popisywanie się swoimi sztuczkami, poniżanie i ośmieszanie słabszego rywala nie jest czymś godnym pochwały, a przeciwnie – świadczy o głupocie i braku dobrego wychowania.

Historia modnego kożuszka

Jako dziennikarz sportowy byłem przez moment działaczem Związku Piłki Ręcznej w Polsce. Między nami mówiąc, do tej roli nadawałem się jeszcze gorzej niż do wyczynowego uprawiania piłki ręcznej. Powierzono mi – co za przypadek – sprawy wychowawcze.

Pojechałem jako kierownik żeńskiej reprezentacji Polski na tradycyjny turniej w czechosłowackim Chebie. Pamiętam ciekawe zdarzenie. Do bratniego kraju udałem się odziany w elegancki kożuszek, wszak reprezentowałem nasz kraj. Przed meczem powiesiłem go na wieszaku, a kiedy mecz się skończył, wieszak był pusty.

Żal mi było kożuszka. Tym bardziej że kupiłem go w Modzie Polskiej dzięki przyjaźni z jej dyrektorem do spraw wzornictwa Jerzym Antkowiakiem. To nie był towar wystawiany do ogólnodostępnej sprzedaży. Nic dziwnego, że poskarżyłem się organizatorom, zwłaszcza że zawody odbywały się mroźną zimą i nie miałem ochoty wychodzić na zewnątrz w samym garniturze.

Cheb leży na zachodzie Czech, tuż przy granicy z ówczesnym RFN, czyli przy granicy między dwoma wrogo do siebie nastawionymi ustrojami. Przyszedł do mnie ubrany po cywilnemu obywatel i przedstawił się jako oficer służby bezpieczeństwa. Wyjaśnił, że znajdujemy się w obszarze przygranicznym i mogę być spokojny o moją część garderoby: „Tu nawet mysz się nie prześliźnie, a co dopiero wasz kożuszek, towarzyszu!”.

Sprawa prędko się wyjaśniła. Po meczu dziewczyny pojechały do hotelu, a ja musiałem jeszcze zostać, podpisać różne papiery, pogadać z gospodarzami i wykonać inne czynności przynależne kierownikowi reprezentacji. Zawodniczki zobaczyły na wieszaku charakterystyczny piękny kożuszek i w trosce o jego bezpieczeństwo zabrały go ze sobą do autokaru.

Swoją drogą, bardzo polubiłem nasze zawodniczki; to nic, że przegrały wszystkie mecze. Fajne, charakterne, dobrze wychowane. No właśnie, dobrze wychowane, choć ja jeszcze ich nie wychowywałem, bo działaczem odpowiedzialnym za te sprawy zostałem niedawno.

Niechciani w domu dziecka

Inne moje działanie związane było z męską reprezentacją, a – przypomnę starszym kibicom i wyjaśnię młodszym – mieliśmy wówczas drużynę na światowym poziomie, nie to co dziś.

Wykombinowałem, że naszym gwiazdom przyda się nieco wiedzy o tym, jak żyją inni, którzy nie zarabiają dużych pieniędzy, nie jeżdżą po świecie, nie parkują pod domem samochodów wyprodukowanych w kapitalistycznych fabrykach. Ponieważ większość zgrupowań kadry odbywała się w tamtych czasach w Puławach, postanowiłem nawiązać kontakt z miejscowym domem dziecka.

Plan był taki: reprezentacja ze swoich licznych wojaży wysyłać będzie pocztówki do dzieciaków i młodzieńców z domu dziecka, a gdy przyjedzie do Puław na zgrupowanie, spotka się z nimi osobiście, wspólnie wypiją oranżadę, zjedzą ciasteczka, a później młodzi popatrzą na trening, Prawda, że wspaniały plan, godny dyplomowanego pedagoga?

Od razu powiem, że gówno z tego wyszło. Pojechałem na spotkanie z dyrektorem domu dziecka w Puławach wyposażony w piłkę opatrzoną podpisami wszystkich reprezentantów, proporczyki i różnego rodzaju gadżety. Dyrektor przyjął mnie z rezerwą, piłkę wziął, ale nawet nie powiedział „dziękuję”, proporczyki od razu schował do szuflady, nie spojrzawszy na nie. „Kurwa, co tu jest grane?” – pomyślałem w duchu, ale na głos nie mogłem wypowiedzieć brzydkiego słowa, wszak byłem przedstawicielem związku sportowego, i to w dodatku odpowiedzialnym za sprawy wychowawcze.

Spotkanie w domu dziecka nie dawało mi spokoju. Myślałem o nim przez całą drogę powrotną w rozklekotanym pekaesie. Spodziewałem się może nie fanfar i czerwonego dywanu na powitanie ważnego działacza, ale choćby herbatki, kruchych ciasteczek i miłej rozmowy. Wszak przybywałem nie tylko z hojnymi darami, ale naprawdę fajną propozycją nawiązania kontaktu z gwiazdami sportu, a Puławy były i mam nadzieję, że jeszcze są, rozkochane w piłce ręcznej.

Wkrótce podziękowałem za pracę społeczną w ZPRP, po prostu się do niej nie nadawałem. Pracowałem ciężko w swoim zawodzie, wolnego czasu miałem niewiele, w dodatku poza redakcją nie potrafiłem działać w sposób uporządkowany, robiłem wokół siebie bałagan. Jeśli zaś chodzi o sprawy wychowawcze, to kto wie, czy mnie by się nie przydał jakiś działacz, który potrafiłby ukrócić moje pijaństwa w gronie kolegów dziennikarzy.

Prezesi i bandyci

Oczywiście jako dziennikarz sportowy nadal miałem kontakty z piłkarzami ręcznymi i działaczami (wcale się na mnie nie obrazili, chyba im też ulżyło, gdy zrezygnowałem ze swojej funkcji). Po czasie dowiedziałem się, o co chodziło z tym domem dziecka. Tam ponoć szły przekręty finansowe albo jakieś inne. Pan dyrektor patrzył podejrzliwie na każdą osobę z zewnątrz, nawet tak pozytywnie nastawioną do niego jak ja. Obawiał się kontroli, marzył o tym, aby nikt nie interesował się kierowaną przez niego placówką.

Na koniec nie mogę się powstrzymać od kilku słów o kibicach, a raczej bandytach nadających ton na trybunach piłkarskich stadionów, tych wielkich i tych całkiem malutkich w niskich ligach. Na nich nie ma mocnych. Żaden, także dużo wybitniejszy działacz sportowy niż swego czasu byłem ja, nie wychowa tej hałastry. Prezesi klubów zaczęli więc współpracować z bandytami. Płacą kary za ich podłe zachowanie, ale wolą z nimi nie zadzierać.

Dowód? Zobaczcie na zakazaną pirotechnikę podczas meczów. Czy te race wnoszą młodzieńcy w kieszeniach spodni albo ich towarzyszki w damskich torebkach? To wszystko po prostu musi się odbywać jeśli nie za zgodą, to przynajmniej przy obojętności władz klubowych. Odzywają się nawet głosy, żeby nie bacząc na względy bezpieczeństwa, znieść zakaz wnoszenia rac na stadiony. Do tego doszliśmy.

Nie twierdzę, że wszyscy polscy kibice piłkarscy są bandytami. Przeciwnie – bandyci są mniejszością. Ale mniejszością najgłośniejszą, nadającą ton trybunom i zastraszającą prezesów klubów. Tutaj naprawdę żadne zabiegi pedagogiczne nie pomogą, bo do tych zakutych łbów nic nie trafi. Jedynym rozwiązaniem byłoby ich całkowite wykluczenie ze stadionów, albo pozamykanie za kratkami. Ale kto się ośmieli to zrobić?

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 7.05.2025 r.

eprasa.pl 37a1455d59

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Zero – liczba starszych mężczyzn, którymi naprawdę opiekuje się obywatel Nawrocki.

Jeden – liczba starszych mężczyzn, o których obywatel Nawrocki mówi, że się nimi opiekuje.

Zero – liczba prostytutek, którymi według obywatela Nawrockiego opiekował się obywatel Nawrocki.

Jedna – tyle żon ma obywatel Nawrocki.

Dwoje – tyle dzieci ma małżeństwo Nawrockich.

Dwoje – tyle dzieci ma obywatel Nawrocki.

Troje – tyle dzieci ma żona obywatela Nawrockiego.

Jedno – liczba mieszkań, do których posiadania przyznawał się obywatel Nawrocki, dopóki dziennikarze nie odkryli, że ma on ich co najmniej dwa.

Dwa – liczba mieszkań posiadanych przez obywatela Nawrockiego, dopóki dziennikarze nie odkryją, że ma ich więcej.

Jedno – liczba mieszkań, do których według obywatela Nawrockiego ma klucze obywatel Nawrocki.

Około miliarda – tyle jest mieszkań na świecie, do których obywatel Nawrocki nie ma kluczy.

Jeden – liczba apartamentów należących do Muzeum II Wojny Światowej, w których bez ponoszenia opłat mieszkał obywatel Nawrocki.

Sto szesnaście – tyle metrów kwadratowych powierzchni ma apartament należący do Muzeum II Wojny Światowej, gdzie mieszkał obywatel Nawrocki.

Osiemdziesiąt siedem – tyle metrów kwadratowych powierzchni mają mieszkania należące do obywatela Nawrockiego.

Zero – liczba pseudonimów, do których posiadania przyznawał się obywatel Nawrocki, dopóki dziennikarze nie odkryli, że ma on przynajmniej jeden: Tadeusz Batyr.

Jeden – liczba Tadeuszów Batyrów wychwalanych przez obywatela Nawrockiego.

Jeden – liczba Nawrockich wychwalanych przez Tadeusza Batyra.

Zero – liczba gangsterów (kryminalistów, damskich i męskich bokserów), z którymi według obywatela Nawrockiego przyjaźni(ł) się obywatel Nawrocki.

W chuj – liczba większych i mniejszych przestępców, z którymi naprawdę przyjaźni(ł) się obywatel Nawrocki.

Zero – liczba kłamstw, którymi według obywatela Nawrockiego i jego sztabowców posługiwał się, posługuje i będzie się posługiwał obywatel Nawrocki.

Od chuja – liczba kłamstw, którymi naprawdę posługiwał się i posługuje obywatel Nawrocki. Oraz będzie się posługiwał, jeśli zostanie prezydentem Polski.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN została okrzyknięta Marylą Rodowicz polskiej polityki. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** nie chodzi na jej występy, bo jest na Kubie.

Senyszyn: – Tak swoją drogą, to mogłaś sobie jakiś inny termin na Kubę wybrać. Byś się przydała w kampanii.

Wołk-Łaniewska: – To ty mogłaś sobie jakąś inną kampanię wybrać, moja Kuba była pierwsza. Kiedy wybierałam Kubę, to tobie się jeszcze nie śniło, że ci się zechce zostać prezydencicą. Ale trochę żałuję, że mnie nie ma, bo wygląda na to, że świetnie się bawicie. Nawet widziałam, że Leszkowi Millerowi wytłumaczyłaś, że kandydujesz po to, żeby miał na kogo głosować.

– No i zrozumiał.

– Oglądałam cię też na Kanale Zero…

– Oglądanie mnie zawsze jest słusznym wyborem, ale nie masz co robić na tych wakacjach?

– Ja staram się nic nie robić na wakacjach.

– O, to tak jak ja! Też po kampanii wybieram się na nicnierobienie. To najlepszy rodzaj wypoczynku.

– Pełna zgoda. Wracając do Kanału Zero: uważam, że był to twój najlepszy występ w tej kampanii. Serio. A najbardziej mi się oczywiście podobało to, co mówiłaś o Polsce Ludowej i firankach…

– Teraz musimy wyjaśnić, żeby sobie Czytelnicy nie pomyśleli, że bzdety opowiadałam. Nie chodziło o sklepy za żółtymi firankami ani o to, co można było podejrzeć przez firankę. Mówiłam o tym, że Polska Ludowa prowadziła politykę niskich płac i była to polityka uzasadniona. To był czas wielkich nakładów na industrializację, na mieszkalnictwo – parę milionów chłopów przeniosło się ze wsi, gdzie nie było dla nich ani ziemi, ani pracy, do miast, gdzie ta praca była. Państwo nie uniosłoby tego finansowo, gdyby płaciło ludziom wedle wartości ich pracy. I do tej polityki niskich płac była dostosowana polityka cen: żywność, artykuły pierwszej potrzeby były planowo deficytowe, dotowane przez państwo. Za to artykuły luksusowe…

– Jak firanki…

– No właśnie: z przyczyn, które nie do końca rozumiem, za najbardziej luksusowy towar państwo ludowe uznawało firanki, które miały cenę czterokrotnie wyższą od kosztów produkcji. Tak czy inaczej: Balcerowicz zlikwidował subwencje – do żywności, do wody, do mieszkań – więc ceny poszybowały w kosmos. A polityka niskich płac pozostała. Zresztą do dzisiaj.

– No widzisz? A nie mówiłam?

– Co? Że Balcerowicz musi odejść?

– To też. Ale tym razem chodziło mi o to, że od początku kampanii ci mówiłam, że powinnaś dużo więcej profesorzyć. Jesteś najlepiej wykształconą osobą w tym wyścigu, a co więcej, masz ten rodzaj kompetencji i autorytetu, który pozwala ci rozumieć funkcjonowanie państwa, w odróżnieniu od – bo ja wiem – profesora fizyki kwantowej. Z całym nieironicznym szacunkiem dla fizyki kwantowej i jej profesorów. Ja mam w sobie generalny kult akademii i strasznie mi brakuje intelektualistów i uczonych w polityce. Zwłaszcza na lewicy, która kiedyś z zasady powierzała stanowiska ministerialne ludziom, którzy się na tym znali i mieli na to papier: Kołodko i Belka byli ministrami finansów, Jaskiernia – sprawiedliwości, Liberadzki – transportu, Żochowski – zdrowia, Wiatr – edukacji etc. A teraz…

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– A teraz nie ma lewicy. Tak zwana Nowa Lewica, zamiast być głosem postępu, jest pośmiewiskiem. A przecież to właśnie z SLD wprowadziliśmy Polskę do NATO i Unii Europejskiej. Co warto przypominać, więc to robię. Także tym znaczkiem…

– Który nosisz koło korali.

– To najbardziej honorowe miejsce. Znaczek oznacza – póki co – stowarzyszenie, nie partię. Ale myślę sobie, że jest miejsce na lewicę, nie tylko koło korali.

– Ale skoro już jesteśmy przy kryzysie lewicy: trochę smutno mi na tej Kubie. Jestem tu czwarty raz, pierwszy był w 2002 r., i zawsze była bieda, ale był też i socjalizm, duma z rewolucji – a teraz została tylko bieda. Kiedyś na każdym rogu miałaś wielkie banery z Che Guevarą, plakaty z Fidelem, malunki na murach z Playa Girón. A teraz to wszystko zniknęło, zostały tylko komiksy…

– Jakie znowu komiksy?

– Wielkie przydrożne tablice z rysunkami z „Granmy" – organu Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Kuby – które chyba mają być zabawne. Jest na nich zawsze wielki wredny Wuj Sam i malutki człowieczek, który ma symbolizować Kubę i jest ciągle przerażony. Na jednym na przykład Wuj Sam wrzeszczy na człowieczka z gitarą i w słomkowym kapeluszu: „Nie graj tej muzyki, bo jest terrorystyczna". A na innym wsadza łeb przez okno kibla i do człowieczka siedzącego na sedesie krzyczy coś o amerykańskim papierze toaletowym.

– I co to wszystko ma znaczyć?

– To ilustracje hasła „Tumba el bloqueo", czyli „Przełamać blokadę". Hasło jest absolutnie słuszne, Kuba jest ofiarą najdłuższego w historii świata embarga, od 1958 r., i jest to absolutny humanitarny skandal, zwłaszcza że zostało wprowadzone w obronie majątku mafii, ze szczególnym uwzględnieniem kasyn i burdeli. Ale za Fidela Kubańczycy byli dumnym narodem, samotnie stawiającym opór imperium zła, a nie wystraszoną ofiarą jankeskiej swawoli. Mówią nam to zresztą nasi nowi kubańscy znajomi: że Fidel miał jaja i Raul też, choć mniejsze, a Miguel Díaz-Canel to cipa bez charakteru i gówno rozumie, bo się urodził po rewolucji. Co skądinąd przywodzi mi na myśl, że twoja dojrzałość jest twoim bezsprzecznym atutem w tym wyścigu.

– Dojrzałość i jaja. Może powinnam kandydować także na prezydenta Kuby. Albo jeszcze lepiej matkę Republiki Kuby…

– Z tą matką to nieco przesadzasz…

– A niby czemu?

– Joanno droga, jakoś mi się z macierzyństwem nie kojarzysz. Dzieci kochasz jak ja…

– Już nie bądź taka dosłowna. Ja mam być matką narodu, która zadba o wszystkich, zapewni pokój, spokój, dobrobyt i nikogo nie pozwoli skrzywdzić.

– To ja powiem na koniec, bo tobie nie wypada: gdyby ktoś miał ochotę wesprzeć matkę, będziemy wdzięczni za wpłaty na fundusz wyborczy: Komitet Wyborczy Kandydata na Prezydenta RP Joanny Senyszyn, nr konta 85 1020 5561 0000 3202 3127 4454.

– A ja podziękuję za wszystkie dotychczasowe wpłaty i – jeszcze raz – za podpisy. A także za cudowne memy i wszystkie serdeczności, które od was dostaję. Każda złotówka, każdy wywieszony plakat i baner, każdy wpis w necie przybliżają nas do zwycięstwa. Kochani, nie lękajcie się!

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 37a1455d59